

„A gdy w głąb duszy wnikniemy”...

GABRYELA ZAPOLSKA.

„A GDY W GŁĄB DUSZY
WNIKNIEMY” ...

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Z przedmową

Wł. Jabłonowskiego.

—
T O M III.
—

WARSZAWA.

DRUK JÓZEFA SIKORSKIEGO, WARECKA 14.

1904.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Октября 1904 года.

XXVI.

Zawinąwszy w kawalek gazety wszystkie swe kosztowności, wyszła powoli Anka ze swego pokoiku. W przedpokoju spotkała się ze Stalewską, zapłakaną, zmienioną.

Ciężką chwilę przeżyła sprytna dama.

Musiała przed furtką, prowadzącą do willi, postawić służącą, która, odpowiednio wyuczona, przepraszała idących gości za to, że jej państwo „dzisiaj nie przyjmują“, bo dziecko się ciężko rozchorowało.

Z po za spuszczonej story, ze łzami w oczach, Stalewska sprawdzała, że dzisiaj właśnie szczególnie dużo osób ciągnęło do willi.

Gnała te osoby widocznie ciekawość zobaczenia, jakie też to „nosy“ mają Stalewscy po tym skandalu, a może pewnego rodzaju radość, iż mogą wnieść z sobą do owej imponującej im willi trochę zgryźliwości ludzkiej, przypominającej kąsanie psów po łydkach przechodniów.

I wszystko tam było, to „ogromnie ludzkie“, w takiej ilości, że aż przelewało się przez zrenice

ciekawe i ręce, wyciągnięte do uścisku. Miny jednak zewnętrzne pełne były pogrzebowej kondolencji, za-grzanej sympatją i szczerą życzliwością. Miny te wydobywały się na jaw już na samo dojrzenie z daleka willi Stalewskich.

A wewnątrz aż migotało ze złości.

Lecz Stalewska odczuwała to wszystko inaczej. Nie pragnęła kondolencji, ani życzliwości. Była za sprytna i zanadto sama „ludzka“, aby ludzię się sympatją świata. Lecz aż dygotało w niej pragnienie, aby podnieść głowę do góry w oczach tłumu i wzruszyć litościwie ramionami, mówiąc: „ten biedny Narbutt... szkoda go! to podobno zdolny chłopak!“

Chlebem—za kamień.

Pragnęłaby nawet rzucić bombą czekoladową, lub pralinką, byle w oczach ludzi. I wystroiła się w biel dobroci i przebaczenia razem z *robe d'interieur* z krepy chińskiej, bogato ubranej muslinem. Wszystko jednak musiało pozostać za roletą, i krepa chińska, i zadarcie głowy, i dobroć chrześcijanki, wybaczącej urazy.

Aż dławił ją płacz bezsilnej histeryi, i drepcąc na miejscu, Stalewska gromadziła w swej duszy wszystkie urazy, jakie miała do męża, a które skrzętnie chowała razem z okrawkami sukien, „które się na coś mogą przydać.“

Te dawne urazy przydawały się rzeczywiście, bo, podsycając obecną chwilę, wydymały ją do rozmiarów katastrofy. To, co się dziś stało, to zamknięcie drzwi willi w zwykły *fix*, właśnie po artykule Narbutta, to było przyznanie się do odczucia i zgębienia tym paszkwilem, bądź co bądź druzgocącym zręcznie budowany, a raczej lepiony gmach sławy mistrza.

I on tego nie rozumiał!... on!...

Zresztą—czy on wogóle co kiedy w tej sprawie rozumiał?

Przecież to ona popychała go po tej szachownicy kariery od pierwszej chwili zameżcia.

Jeszcze jako narzeczona zabrała się do pracy. Umiała pomiędzy dwoma pocałunkami, w cieniu portyer i zdaleka od mamy, wyłudzić postaranie się o reklamy z okazji ślubu, o umieszczenie ich obojga portretów w pismach ilustrowanych, o ciepłe wzmianki, których brulion sama mu zredagowała w swym panińskim pokoiku.

Gdy dziwił się jej wprawie i tej szalonej chęci, aby o nich mówiono, szeptała cała różowa, błyskając oczyma:

— To dla dobra pana... chcę, żebyś był sławnym!

W świecie filistrów uważano tę ślubną reklamę za trochę śmiałą, lecz imponującą. Panięka-narzeczona kładła podwaliny przyszłej solidności rodzinnej, opartej na artyzmie z wielką gorliwością i siłą.

— Przekonam was, że można być artystą i porządny człowiekiem...—mówiła do swych kuzynek, które nabawiały się po sklepach swych mężów wieczystej fluksyi, drepcąc za kontuarem, z przekonaniem, że one spełniają obowiązki, a ci „artyści“, to zwierzęta nieczyste, grzeszące siedem razy na dzień, i to w razie wyjątkowej pauzy.

Przyjaciółki, uczciwie uczesane i z łańcuszkami złotymi na wydatnych biustach, kręciły nosem, lecz ona rozwichrzyła włosy w prerafaeliicką, złotą, musującą pianę, ułożyła twarz w kształt madon Cimabuego, z domieszką główek Zmurki, i na smoku reklamy wjechała całym pędem w świat.

Przeharcowała tak całe rozłogi i bruzdy życiowe, z powodzeniem biorąc przeszkody.

Nagle smok zaczął kuleć, a obecnie odmówił zupełnie posłuszeństwa.

Coś się w poprzek drogi kładło, a co było najgorsze, to nieuchwytność tego czegoś, to wyczuwanie przez skórę jego istnienia, a niemożność pochwycenia w szpony i skręcenia karku.

Więc aż płomienie były po twarzy Stalewskiej na myśl o niewidzialnym wrogu.

Chwilę myślała: Anka... ona...

Lecz silnie wewnętrzność jej zaprzeczyła. Tu było coś więcej, niż obdarzona ruchem i mową istota.

Tu było stanowczo coś więcej.

Mimo to jednak, gdy spotkały się w sieni, Stalewska, rozmazana a drżąca złością, błysnęła ślepkami ku Ance. Odczuwała w tej dziewczynie jakby kryształ, przez który przepływało to coś nieznanego i groźnego w stronę jej męża.

— Pani wie...—syknęła—*fixu* dziś niema.

— A... to dziś *fix*?

Anka oczyma błędziła po otworze drzwi, przez który w ciemniejszej szarości cicho woniały grzędy narcyzów z teorią rozkleczonych u ich stóp kornych bratków i rezed.

— Tak... a mąż wszystkich gości rozpędził.

— Mąż pani pracuje.

— Może na chwilę przerwać.

— Nie, pani. Pracy twórczej się nie przerywa.

— Więc lepiej z ludzi porobić sobie wrogów?

— Lepiej.

— !!!

— Tak. Lepiej z ludzi, niż z duszy własnej.

Stalewska wykonała ruch, jakby ktoś ją wplecy nahajką świsnął.

— Pani plecie...

Anka nie patrzyła na nią, ciągle wzrok jej przeciągał po grzędach narcyzów sennych.

Lecz Stalewska była uparta.

— Pani plecie... dusza własna nie może być wrogiem, nie może szkodzić.

— Przeciwnie. Niema straszniejszego wroga nad sponiewieraną i zbuntowaną wreszcie własną duszę.

— Na to człowiek ma rozum i siłę, aby także coś uchodził...

Teraz Anka przeniosła swój wzrok na Stalewską i powoli, lecz silnie zapytała:

— Pani o duszy ciągle mówi?

— Tak.

— Dusza się uchodzić nie da... Ma pani teraz taki niezaprzeczony dowód.

Ręką wskazała ku pracowni Stalewskiego. W geście tym był cały świat dumy, prawie radości, solidaryzowania się z tym zbudzonym, szarpiącym się w tej chwili Demonem, czy Archaniołem twórczości.

Stalewska gest ten zrozumiała.

Nerwy jej zatrzęsły się jak breloki, tańczące rozbrzęconą tarantellę u wrót jej wygorsetowanego brzucha.

— I pani go aprobuje?

Zatopiła swe ślepki w prześliczne, spokojne źrenice Anki.

— Ja jestem z nim całą duszą...—brzmiała odpowiedź prosta, ale wielką swą szczerością bezwzględna.

Stalewska się wyprostowała jak struna.

— Pani daruje, na *to* jest żona.

— Zapewne.

Anka zwróciła się ku wyjściu. Coś bowiem jakby odepchnęło ją od tego ścisłego spoidła, które

Anka wyczuła w jednej chwili w słowach Stalewskiej:

— Na to jest żona!

To słowo „żona“ wypełniało całe usta tej kobiety, jako prawne i słusznie jej przynależne. Ance przypomniawszy się zasłyszana niegdyś z otwartego okna sutereny klótnia praczki z mężem:

— Ja twoja ślubna żona...

Stalewska w jednej chwili zrozumiała jakiego uczucie niesmaku, połączonego ze zgnębieniem, które targnęło Ankę.

Zdawało się jej to być zwyczajem i sforsowała nutę:

— Jeżeli kto ma być całą duszą przy Janie— zaczęła syczącym głosem—to ja przedewszystkiem, która mam do tego, zdaje mi się, prawo... Wszak tak, pani nie zaprzeczy?...

Och!... „ślubna żona“, sutereny...

— Pani nie zaprzeczy?

Anka usiłuje odzyskać równowagę i spokój.

— Tak—odpowiada już, stojąc u progu—jeżeli pani rzeczywiście męża kocha, ma pani do tego prawo... i dobrze pani robi, jeśli z niego skorzysta... Ale tylko... jeżeli pani męża kocha...

Stalewska chce swój zły humor konieczniamuś wyrzucić.

— Kocha!... kocha!... Uczciwa żona zawsze męża kocha! Co pani ma za sposób wyrażania się, panno Anko!... Pani takie „jeżeli“ nawet do głowy przyjść nie powinno... Żona musi męża kochać, tak samo i mąż żonę.

— Musi?

— Tak... na to są mężem i żoną.

— Och!...

— Tak, dlatego.

— Pani chce powiedzieć: pomimo...

— Nie rozumiem...

— Niech pani się uspokoi nerwowo, zejdzie spokojnie pomiędzy kwiaty i w ciszy pomyśli nad tem słowem: „pomimo...“ Pomimo, iż są mężem i żoną, kochać się mogą... Niech pani postara się to zrozumieć...

Parsknięcie, jakby kota, przerywa cichy głos Anki.

— Pani jesteś nawskroś zepsutą dziewczyną, zepsutą i niebezpieczną

Anka nic nie odpowiada.

Była przekonana od początku tej sceny, że spotka ją jakaś wielka od tej kobiety niesprawiedliwość.

To wisiało w powietrzu.

— Tak... pani jesteś zepsutą i... muszę na panią zwrócić baczną uwagę... Ja stoję na straży...

Wyprostowała się jeszcze więcej, przybierając minę kury na straży kurnika.

Anka wysunęła się powoli, przejęta goryczą i coraz więcej wzrastającym uczuciem upokorzenia.

Jakiś żal przejął ją do Stalewskiego. Był śmieszny prawie, coś go osłaniało szatą o kroju domowego szlafroka. Ankę bolało to, że dominującą była w niej ta właśnie nuta. Usiłowała obudzić w sobie współczucie nad tym cierpiącym w bólu tworzenia i walki człowiekiem. Lecz współczucie nie przychodziło. Natomiast rosło wrażenie szlafroka, sutereny.

Szybko biegła Anka w stronę mostu.

Sciemniało się dziwnie, w liliowo-szafirowy ton. Niebo i cienie, kładące się po ziemi, miały barwę górskich gencyan, zerwanych i schnących w upalny, smutny dzień. Gdzieś włóczyła się mgła, o barwie lawandy delikatnej, jakby zamąconej kroplą karminu. I zaraz ciemny szafir chłonał w siebie te smugi z surowością bezmierną.

Tu i owdzie zapalały się srebrnawe gwiazdy i nikły nawet nie odbite w ciemnym błękitcie wody. Bez światła, bez woni stał się dzisiejszy wieczór— bez światła, bez woni...

Na moście, oparty o balustradę, stał Wierciak i pluł w fale.

On zdołał w tej powodzi szafiru ocalić swą szarość charakterystyczną. Stał i pluł bezustannie, rad, że maści choć drobnociębną cząsteczkę posuwających się królewsko fal.

Daleko, nieruchomo, inny szary cień.

Wątki, drobny, także cały w błękitcie wieczoru. Cień ten kobiety, nieruchomy, przyległ także do balustrady i głowę ma zwróconą w stronę Wierciaka. Nadchodząca Anka poznaje Piotruškę.

Szybko Wierciak odrywa się od balustrady i do Anki podbiega:

— Proszę wielmożnej pani...

Czeka, zuchwały, lecz na pozór grzeczny, przystrojony w obleśny uśmiech.

I następuje krótki targ. Z jego strony, gdy nastąpiło zrozumienie, iż „panna“ niema pieniędzy, zmieniony ton, ręce w kieszeniach kurtki.

Lecz i w niej budzi się szlachecka buta i głowa wznosi się hardo, usta się zacinają. Mówi przez trzecią osobę, głos ma ostry, zmieniony. Ruchem rozkazującym oddaje paczkę z drobiazgami. Prostuje się, rośnie. Terroryzuje i dominuje nad postacią przedmiejskiego lyka. Krótka to chwila, wyczerpująca jej siłę moralną. Ale dotrwa, i bez gestu pożegnania odchodzi od cuchnącego proletaryusza, który przedstawia się jej, jakby szczerlnie zamknięta skrzynia, pełna śmiecia. Jest tak ohydny, że dla Anki nawet nie przedstawia się w żadnej harmonii i ginie ta chwilowa, upiorna zjawa, jaką wypłynął

ongi z czeluści piwnicznej, wywołany głosem Zagrodzkiego.

Anka mija opartą o balustradę Piotruškę.

— Dobry wieczór, Piotruško!

Ten szary cień ma przynajmniej harmonię przytomnej duszy, żrącej się straszną siłą z kagańcem cywilizacji.

Lecz Piotruška marszczy jasne brwi:

— Pst... niech pani nie przeszkadza...

— W czym?

— A no, za nim patrzę... zaraz pognam...

— Czego ty od niego chcesz?

— Jakto? czego?... chciał mnie bić, nie dałam się... i nie dam... Ale muszę wiedzieć, co robi, gdzie chodzi.

Urwała, odgarnęła włosy z czoła. Była spocona i rozgorączkowana.

— Pani mu pieniądze dała? widziałam! To źle, mnie lepiej było dać... Byłabym stancję zapłaciła i miałabym na zapowiedzi.

— Żeni się?

— Musi!

I tu znów padło „musi“ tak, jak tam, w willi Stalewskich.

I ten „mus“ był znów wtłoczony w dziedzinę uczucia, a więc tego, co powstaje w nas nieświadomie, bezwolnie, rozwija się, potęguje, szaleje i znika równie nieświadomie, jak przyszło z dali, z mgły, z lotnych snów.

— A jeżeli cię nie kocha?

Lecz Piotruška nie słyszy.

Wierciak skończył przeglądanie drobiazków, wręczonych mu przez Ankę, i odchodzi, pogwizdując do szynków, rozłożonych za miastem.

Jak wicher porywa się Piotruška i biegnie

wzdłuż klatki mostowej, biegnie, miga się na tle stalowych belek, biegnie i niknie.

Anka chwilę patrzy na nią, a potem szybko posuwa się w stronę miasta.

Chee koniecznie zobaczyć ojca dziś jeszcze, bo szarpie nią niepokój.

Zdaleka widzi okno jego pokoju ciemne zupełnie. Lęka się, że wyszedł zgorączkowany i chory. Przebiega szybko hotelowe wschody. Puka do drzwi.

Niema odpowiedzi.

Naciska klamkę, drzwi otwarte z klucza.

Wchodzi do środka pokoju.

W nogach łóżka siedzi jasna postać.

Gazowe płomienie, otaczające plac, oświetlają pokój żółtawym, dziwnym blaskiem.

Zagrodzki, w narzuconym na bieliznę palcie, bosi, z rozwichrzoną brodą, siedzi nieruchomy, jak statua i patrzy w okno.

Zdaje się nawet nie dostrzegać wejścia Anki, tak jest cały zmartwiał i pogrążony w sobie. Lecz gdy córka podchodzi tuż ku niemu i przecina swą postacią świetlaną smugę, w której wzrok jego tonie, rzuca się, zdjęty straszną, okropną trwogą.

— Czego?... kto?... nie mam nic.. komitet... — belkoce, wyciągając ręce, jakby chcąc obronić się przed napadem hyen wyborczych.

— Nic... nic... uspokój się, ojcze... — prosi Anka—to ja, Anka, przyszłam się dowiedzieć, zobaczyć, jak się miewasz...

Lecz on kryje głowę, drży cały

— Ko...mitet... — jęczy z po za dłoni, do twarzy przywartych.

Ankę przebiega jakiś dreszcz, zdaje się jej, że wiruje z nią cały pokój, że ona sama porwana jest w krąg niepewnych, rozchwianych myśli. Doznaje

zawsze tego wrażenia, gdy ojciec jej popada w tę nagłą trwogę. Siłą woli opanowuje się. Szuka zapalek, zapala świecę, zapuszcza stopy, słowem, stara się sama wejść w zrównoważone czyny i ojca za sobą wprowadzić.

On powoli odrywa ręce od twarzy i śledzi Ankę z pod brwi zsuniętych. Nic nie jest w stanie opisać mętności jego bladych źrenic i tego dziwnego, wydzielającego się z nich niepokoju, a raczej zaniepokojenia.

Anka kilkakrotnie spogląda ku niemu i spotyka się z tym wzrokiem, który targa nią całą. Ręce jej opadają, zaczyna się sama lękać. Siada koło stołu i próbuje rozpocząć rozmowę:

— Ojciec dziś nigdzie nie wychodził?

Niema odpowiedzi.

— To lepiej. Niech ojciec odpocznie po tych wrażeniach... Cisza i samotność uspokoją ojca zupełnie, prawda?

Niema odpowiedzi.

Tylko ten wzrok, ten mętny, dziwny wzrok!...

Anka postanawia nie myśleć o tem, że jest przed nią taki wzrok. Postanawia wziąć, niezależnie od tego mętu, duszę ojca, i zajrzeć w jej głąb, jawnie, zajrzeć w jego obecności, aby i on, uczestnicząc w tej sprawie, zrozumiał wreszcie, jakiej dopuszcza się na sobie samym zbrodni.

— Ojcze... ja sędzę... że dla ciebie, dla nas obojga, najlepiej będzie, gdy wyjedziemy na wieś. Wszak dwór wyłączony z dzierżawy, możemy odpocząć. Ten dzień wczorajszy, ta straszna, tragiczna noc, toż chyba wyczerpała ciebie do dna. Pomyśl, ojcze... spokój! cisza!... drzewa, zieleń, bezkres równin, ciche, słoneczne zachody, to wszystko twoje! Możemy czerpać pełną dłońią, rozkoszować się... Czy słyszysz mnie, ojcze?

Niema odpowiedzi.

A po za tem Anka czuje, że wzrok staje się coraz bardziej mętny. Ogarnia ją to, jak fale wezbranej rzeki, fale żółte, wlokące za sobą bagniska gliniaste, gnijące wodorosty, wzdęte trupy.

Prawie rozpaczliwie zaciska Anka splecione ręce dokoła kolan. Mówi, lecz każde słowo boli ją i męczy. Czuje w sobie ton doktrynerski i nie może pobudzić się do nastroju prawdziwego, głębokiego uczucia. I tem jej to straszniejsze, że tam, przy oknie, w willi, naprzeciw Stalewskiego, pomimo, iż właśnie nadawał się nastrój chwili i sytuacja do tonów doktrynerskich, ona była szczerą, ona była białą, ona była wielką, ona czuła i czuć umiała bez wysiłku, bez pragnienia.

Przypomina sobie ciszę ganku, na którym porzucone wędzną kornie bratki, i cudowny bukiet rozpachnionej akacyi o gronach kwiatów wonnych i śnieżystych.

— Ojciec... powróćmy na wieś... porzuć miastol porzuć politykę... porzuć to, co ci całe życie zabrało! Jesteś przeciętnym, rozpolitykowanym Galicyaninem. Nic więcej! Pozostań czemś więcej... Pozostań sobą, człowiekiem cichym, rozmilowanym w pięknie, którego jest w tobie samym tyle. Bądź rozumnym, mądrym i mądrością to napawaj swą duszę i dozwól jej wejść w kontakt z mądrością przyrody. Zobacysz, ile w tem rozkoszy, zobaczysz, z jakim spokojem patrzeć będziesz na te marne wysiłki, na które się obecnie zużywasz... Powiedz, co ci przyniosła ta chęć polityki?—nic, prócz zawodów i zgryzot...

Nagły ruch Zagrodzkiego przerwał jej mowę.

Zagrodzki porwał się z miejsca i zaczął chodzić szybko po pokoju, rozwiewając polity palta. Ruchy

jego były niepewne, twarz nad wszelki wyraz ponura.

— Jeżeli... po to przyszłaś... aby mi uragać...— zaczął.

Lecz Anka nie dała mu dokończyć:

— Nie uragać ci przyszłam, ojciec, ale chcę, ażebyś raz wejrzał w głąb swej duszy. Co z nią zrobiłeś? co z nią zrobiłeś, ojciec?

Mąż zrenic Zagrodzkiego ustąpił na chwilę jakimś skaczącym, dziwnym ognikiem.

— Nie ja jestem temu winien, że do niczego nie doszedłem, tylko podle, ludzkie intrygi... — rzucił przez zaciśnięte zęby.

Anka porwała się z miejsca.

— Ależ właśnie, gdybyś był „doszedł”, byłbyś stał się niczem...

— Oszalałaś?

— Tak! tak!... Nicość, mara, złuda, to zlepkki wielkości, do których dążyłeś. Ojciec! jest prawdziwa Wielkość, lecz nie tam, nie w salach parlamentarnych i nie w kotle rozwichrzonych namiętności i pychy. Wielkość tę masz w sobie, z nią na świat przychodzimy wszyscy. To Dostojeństwo mądrości naszego ducha, bezmierna równowaga świętej dobroci i ciszy, odczuwającej tylko to, co piękne i szlachetne. Czy mnie rozumiesz, ojciec?

Patrzył na nią z pod brwi ściągniętych, ręce jego, kurczowo zagięte, szarpały zwichrzoną brodę.

Miał coraz straszniejszy wygląd człowieka, który schodzi z rozstajów życia na zupełnie błędną ścieżkę.

— Mogłeś być tak szczęśliwy...—podjęła Anka— i szczęściem swoim wywołać uczucie szczęśliwości w innych. I to było twoim obowiązkiem...

Zrozumiał tylko to jedno słowo, które mignęło przed nim na wir jaskrawej plachty:

— Chciałem właśnie spełnić obowiązek!...— krzyknął chrapliwym głosem—nie dali, intrygi... podli... podli...

Zawirowało aż od tego głosu, w którym było coś z ryku zwierzęcia, przypartego do skały przez sforę psów.

Anka doznała wrażenia, jakby cała masa czarnych motyli spadła na jej głowę i zaczęła bić ją skrzydłami po opuszczonych powiekach.

— Nie, obowiązek twój był inny — odparła z wysiłkiem—należało siebie uczynić dobrym i szczęśliwym, a potem przez swoje własne szczęście nieweczyć cudze nieszczęścia. Tymczasem ty, ojcze, postąpiłeś inaczej. Wybrałeś drogę głośną, zamiast iść cichą ścieżką wewnętrznego zadowolenia. I co ci z tego przyszło? co? Nie dałeś szczęścia ani matce mojej, ani mnie, ani sobie. Porwałś swą duszę na strzępy, skoro się cofniesz myślą w życie, widzisz w niem tylko bezowocne trudy, wysiłki i szpetotę małych intryg politycznych. Czy miałeś choć jedną chwilę odczucia, jak pięknym i rozumnym tworem zrobiło cię Przeznaczenie? A przecież to samopoznanie naszej wartości jest największą rozkoszą życia... Pomyśl... zastanów się, ojcze...

Zagrodzki cofnął się teraz ku ścianie w najciemniejszy kąt pokoju. Plecami przywarł do muru i ręce na płask przyklepił do obicia. Głowa jego niespokojnie poruszała się, tracąc tylną część czaszki o ścianę ciągłym miarowym ruchem.

Choć nikał prawie w cieniu, jednak Anka, spojrzawszy na tę postać, doznała ogromnego niepokoju. Coś się tam działo pod tą czaszką, jakaś praca straszna i stanowcza.

A może to wreszcie zbawienny przewrót, może wreszcie nastąpi upamiętanie i Zagrodzki odrzuci

precz swe polityczne mrzonki, jak szatę kłowna, oplutą i palącą go śmiertelnie.

Ta myśl dodaje jej siły. Pragnie, aby i on razem z nią zajrzał w głąb swej duszy. Roztajął w niej i to uczucie, że mówi obok swego przekonania—znika. Widzi tylko całą nędzę tej pychy duchowej, powalonej i zgniecionej w swym upadku.

Pragnie tylko jednego, aby nie powstała więcej, nie odżyła znów na piekielne udęczenie tego człowieka.

— Składasz swe niepowodzenie polityczne—zaczęła znowu—na intrygi, na wrogów... Ależ, ojcze, wrogiem swoim ty jesteś sam. Tyś stanął na przeciw siebie i chwyciłeś za bary swoją lepszą istotę po to, aby ją ustroić w mundur dwuznaczny jakiegoś pana na świeczniku! To nie śmieszne, to tragiczne! Tyś był jak ten szalony siewca, który idzie zagonem o szarym ranku i rozrzuca ziarno na prawo i na lewo na nieuprawną rolę.

Podniosła rękę i mimowoli wykonywać zaczęła gest owego siewcy, którego wizją wykwitła jej myśl smutna pewnego przedwyborczego ranka.

— Rozrzucasz ziarno swego życia... tak i tak...

Sama rozkolysała się tą wizją i tem tempem rozrzucanych ziarn. Smutek ogarnął nią całą. Mało brakowało, aby jej oczy nie zasłoniły łzy.

Lecz z cienia, gdzie wahadlowym ruchem tarła się czaszka starca o ścianę, dał się słyszeć jakby przyciszony chichot.

— Tak... i tak...

Od ściany oderwała się jedna ręka, długa, koścista, rasowa ręka, i powiała w powietrzu.

— Tak... i tak...

I znów chichot niewyraźny, straszny, jakby daleko zaśmiały się puszczyki.

Po Ance przebiegł mróz.

Ręka jej mimowolnie opadła, szeroko rozwar-temi żrenicami wpatrzyła się w ojca.

Chichot ustał, ręka Zagrodzkiego zniknęła w cieniu. Natomiast po chwili słyszeć się dało jakby stłumione łkanie.

Anka przewyciężyła trwogę i zbliżyła się ku ojcu.

W cieniu dojrzała, iż spazm płaczu bez łez wstrząsał jego wychudłą piersią.

Zamknął oczy, oparł głowę o ścianę i stał tak strasznie nędzny, nieszczęśliwy, bez woli i chęci do życia.

Ujęła go za zimną jak lód rękę:

— Ojciec!...

Dał sobą powodować, jak dziecko. Wyprowadziła go z cienia, posadziła na łóżku. Miał ciągle oczy zamknięte i drżał cały, jak w febrze. Wreszcie opadł ciężko na poduszki, kryjąc twarz. Anka stała niezdecydowana, nie wiedząc sama, jak postąpić wobec tego cichego smutku i zrezygnowania, w jakie popadł.

— Czy czujesz się chory, ojciec? — zapytała cicho — pochylając się ku niemu.

Podniósł głowę i zwrócił ku niej twarz zmienioną, bladą, z rysami dziwnie zaostrzonymi.

— Słuchaj... — wyrzekł przyciszonym głosem — słuchaj, czy ty sądzisz, że ja nigdy do niczego nie dojdę? Tylko mów szczerze... bez wykrętów...

Pochwycił jej rękę i wpijał palce w jej ciało, jakby stalowe, zimne węże.

Uczuła, iż przyszła chwila stanowcza, że tylko siła słowa może dokonać cudu przemiany.

— Nie — wyrzekła dobitnie — nie dojdiesz nigdy do żadnego politycznego stanowiska... będziesz zawsze przy wyborach przepadał... zostaniesz ciągle wiecznym kandydatem... i zostaniesz pośmiewi-

skiem swych kontrkandydatów... zamiast być dobrym, szczęśliwym i szczęście dającym człowiekiem!

Mówiła wyraźnie, powoli, pochyłona nad nim, akcentując każde słowo, jakby wlewała mu w duszę po kropli antydot trucizny, żrącej jego istotę.

Patrzyła mu w oczy, lecz te były prawie martwe, szklane, i jeżeli się w nich odbywała jakaś praca, to już to szkliwo martwe silnie pokryło wyraz, jaki, pod wpływem słów Anki, nabrać mogły...

Przez długą chwilę trwało milczenie.

Tylko palce Zagrodzkiego wpiły się jeszcze silniej w rękę córki.

Wreszcie, z wysiłkiem, jakby z za mgły, dał się słyszeć szept:

— I dlaczego to, Anko? dlaczego to?...

— Boś nie był na to przeznaczony, ojciec!... — odparła — byłeś stworzony do życia w ciszy i kontemplacyi, i taką była twoja dusza niebłysłotliwa, a z natury zdolna do odczuwania rzeczy dobrych, cichych, szlachetnych. Dusza twoja czekała tylko na upiększenie, na użyźnienie z twojej strony, a tyś powłókl ją na targowisko ludzkich namiętności i żyć jej kazał plugawą walką o krzesło kurulne... w ciasnych salach sejmowych, lub radcowskich komedyi!... Och, ojciec!... ojciec!...

I znów nastąpiła cisza.

Dzwonek tramwajowy zajęczał pod oknami, zgrzytnęły koła i rozplynał się ten zapóźniony głos w czerni nieba.

W lichtarzu dogasała świeca.

Było tyle beznadziejnego smutku dokoła, że Anka zrozumiała, iż należy rzucić choć chwilę jaśności przyszłej w tę całą czerni i smutek.

— Lecz przed nami!... — zaczęła.

On jej przerwał nieznacznym potrząśnięciem ręki.

— Więc mówisz, że zmarnowałem życie?...— wyszeptał blademi ustami.

— Do tej chwili—tak. I co gorsza, zmarnowałem sobie wspomnienia, któremi się po pewnym przełomie żyję. Czem teraz żyć będziesz?—powiedział Wspomnieniem cuchnących pychą chwil? Czem?...

Zdawało się, iż Zagrodzki przestał oddychać, tak silnie znieruchomiał w nateżeniu myślowym.

— Więc mówisz... że rozsiąłem... rozrzuciłem życie?..

Ręka jego zaczęła zakreślać łuk, którym Anka odtwarzała ruch widmowego siewcy nieuprawionych pól.

— Tak... tak...

I nagle z jego piersi wydobył się krzyk — ryk nie krzyk.

Jakiś ryk zwierzęcy, coś graniczącego z wyciem wichru, gdy koronę dębu aż ku ziemi chyli.

Zawył człowiek za znikającym życiem.

Puścił rękę córki i odepchnął garnącą się ku niemu Ankę.

— Idź... idź... chcę być sam...

— Ojciec!...

— Zostaw mnie, nie dręcz więcej... muszę być sam!...

— Jesteś chory, cierpisz...

— Ja?... nie... ja jestem zdrow!...

Otworzył szeroko oczy. Uśmiechał się uprzecznie. I znów cicho zachichotał.

— Jestem zdrow... idź... idź...

— Świecę ci choć zapalę.

— Nie trzeba... po co? Ja widzę teraz jasno... widzę w ciemnościach to, czego ty nie widzisz. Idź ztąd...

Ociągała się niepewna, strwożona.

— Ojciec, pozwól mi pozostać...

Porwał się nagle straszny, groźny. Dolna

szczęka wysunęła się, wachlarz brody chwiał się przy ruchu konwulsyjnego drżenia, którym cała twarz dygotała.

— Idź... idź!... bo cię wygnam precz...

Cofnęła się ku drzwiom, gdyż był jej tak blisko, iż oddech jego palący czuła na swej twarzy, ręce jego wyciągnięte klekotały ponad jej głową.

Otworzyła drzwi i wybiegła na korytarz.

Posłyszała zgrzyt klucza w zamku i po za drzwiami kroki oddalającego się widocznie w stronę łóżka Zagrodzkiego.

Niepewna, zmieszana wyszła z hotelu i zaczęła chodzić po skwerku, położonym w środku placu.

Kilka latarni oświetlało posąg kamienny Dziewicy i jej litośnie wyciągnięte ręce w stronę ludzi, ponad strumieniem cicho do basenu cieknącej wody.

Lekko drżały akacje w tej nocnej ciszy, grządka lewkonii bladych rozpachniała się słodką, miłą wonią.

Anka niespokojny wzrok utkwiała w okno pokoju ojca, lecz tylko krótkie błyski dogasającej świecy rozjaśniały na chwile czerni dużych szyb.

Nagle światło zupełnie zgasło.

Mimo to Anka nie odchodziła. W duszy jej powstała niepewność, czy dobrze zrobiła, przemawiając tak bezwzględnie do znużonego porażką ojca. Wyraz jego twarzy, gdy chichotał cicho, z oczyma, pokrytymi matowem szkliwem, nie opuszczał ani na chwilę jej rozgorączkowanej wyobraźni.

— Wtedy był najstraszniejszy...—myślała.

Nagle jakiś mężczyzna dotknął ją łaską w plecy.

— Pst... pst...

Pot okrył jej czoło.

Uczuła w jednym momencie całą brutalną szpetotę życia. Układ taki a taki nie dozwalał jej czuć na ulicy nad ojcem, który dręczył się i konał może w tej męce.

Zaczęła iść pośpiesznie, jakby to dotknięcie laską zapóźnionego w handelku mężczyzny, poszukującego tanich wrażeń, było uderzeniem rozpalonej do białości żelaznej szpicruty.

Nie szła, lecz biegła teraz w stronę willi.

Jeszcze kilkakrotnie natknęła się na takie „pst-pst“ i dusza jej ociekać zaczęła grozą i trwogą. Puszczą dla niej zdał się ten spiętrzony wał jaskiń, wyciągniętych w szeregi i ponumerowanych hipotecznie i policyjnie. Gdzieniedzie kłębiło się zwierzę bez zwykłej zwierzęcej szlachetnej piękności. Płynęły strugi błotne ludzkich ugód wspólnych i ustępstw wzajemnych. Anka biegła mimo w swej jasnej sukience kobiety dobrej i przenikniętej wyższą myślą samopoznania własnej głębi duchowej.

Biegła jednak do swej jaskini, do swego legowiska, czując, że jest za drobna, za słaba, za jedna, aby móżdżek przewalczyć choćby tę ustawę, przyjętą milcząco, iż kobieta niema prawa pozostać pod sklepieniem nieba, gdy czerń nocna rozwlecze swą ciemnię.

Jak zwierzę nieczyste — kobieta czysta chronić się musi i obwarowywać murem.

Natomiast wolność zyskują dusze i ciała zblonczone, na które rozpościera prawo wspaniały baldachim nocnego szafiru, nabijany brylantami i rubinami drżących wysoko gwiazd.

Tak jest... tak jest...

XXVII.

Za kratą ogródka willi, pomiędzy grędy narcyzów i rezedy, schroniła się Anka.

Wsluchuje się w szmer płynącej rzeki, oddycha chłodnym powiewem pól i pragnie znaleźć jakieś ukojenie i trochę spokoju.

Napróżno.

Rozwiało się jej dawne zrównoważenie, to ciche, dobre, spokojne zawisnięcie w przestrzeni milczącego płaka, który z góry, z ciepła, z kryształu powietrza, patrzy na objawy ziemskiego życia, kłębiące się pod jego skrzydłami.

Teraz Ance zdaje się, że w niej samej wiele istnień ludzkich dręczy się, walczy, stara się strącić z siebie smutek i zło gnębiące. A te wszystkie istoty mają tę właściwość, iż z podwójną wrażliwością odczuwają swoje zło i swoją melancholię, lecz wyzbyć się ich nie mogą, czy sił nie mają.

I dlatego rozboleła się tak duchowość Anki dziwnie do umeczenia najwyzszego.

I dlatego w tę noc szafirową i srebrną, rozpachnioną i rozszemraną, Anka do krat ogródka przywarła ręce i na nich złożyła zbolalą głowę, w którą hydra neurastenii stałowe szpony wpija.

Ojciec, Piotruśka, Stalewski — wszyscy walczą, cierpią, kłębiąc się w poświęceniu swych duchowych sił. Ona przez swoją duszę przepuszcza ich ból i wysiłki, i odczuwa je ze zdwojoną siłą.

Myśl jej biegnie ku ojcu i widzi go w tym ciasnym numerze hotelu, jak siedzi w ciemności, wsluchany w jej słowa, które widocznie sprawiły na nim wielkie wrażenie. Widzi jego rękę, jak powiewa nią gestem siewcy, rozrzucającego treść życia na rozłogi i bagna, słyszy jego głos:

— Dla czego, Anko... dlaczego...

Golgota duszy, Ogrójec, gdzie pot krwawy płynąć będzie w obrachunku przemarnowanego życia...

Szary cień przesunął się lekko przed wyobraźnią Anki.

— Musi dać na zapowiedzi... nie śmiecie...

I oczy, wpadnięte w dół, gorączką spieczone usta, straszna jakaś determinacja pół-zwierzęcia, gotowego do poniesienia śmiertelnego ciosu w obronie swej wyczutej nagle indywidualności. Piotruśka, gnająca wichrem za kochankiem, Piotruśka, zbuntowana i domagająca się tego, co ludzie zwą prawem.

W cieniach nocy, w cieniach szynku, pod oknami mordowni i lupanarów, kobieta-kochanka, wyjąca o wieczysty węzeł, łączący ją na dośmiertną niewolę z uciekającym od niej mężczyzną!...

Anka aż omdlewa w wyobrażeniu sobie tej nędzy kobiecej.

Nie pachną ku niej narcyzy, ani rezedy senne, nie szmerze cicho woda, nie skrzą się brylanty gwiazd...

Wszystko piękne i czyste ginie i maleje wobec tej żaloby, w jaką popada duch ludzki na usługach tak silnie obwarowanego konwencyami cywilizacji ciała.

Oczy Anki senne, smutne, mimowoli szukają wytchnienia.

Ogarniają wille.

W pracowni Stalewskiego błyszczy światło.

Do połowy zaciągnięta stora przecina tę jasność i czyni ją bledszą.

Na storze, jak na rozpiętym ekranie, migoce lekko cień Jana.

Przy wielkiej lampie, opuszczonej z sufitu, Stalewski pracuje.

Żar, gorączka walki zieleje z tego, pozornie spokojnego wnętrza.

Ankę przejmuje uczucie wielkiego współczucia. Z ulgą widzi, iż ten bezbrzeżny poprzedni smutek, z jakim uczestniczyła w walce tamtych dusz, roz-

plywa się tu prawie, jakby w słodycz cichego poświęcenia.

Tamten „niesmak“, wywołany słowami i istnieniem Stalewskiej, zaginął zupełnie. Anka widzi tylko rezultat swego wysiłku w kierunku zbudzenia ducha w „pajacu“, i tryumfuje teraz, przejęta wzruszeniem.

— Przyjmę na siebie wszystko, co on stworzy—myśli, pełna teraz chęci uczynienia czegoś dla tego człowieka, idącego tak ślepo szlakiem jej stóp—przyjmę i przekonam i świat, i jego, że w nim nie zamarła młodość twórcza i siła, lecz usnęła chwilowo, jak usypia ziarno pod ziemią, aby wejść w stokrotnie wybujałe kłosa.

I pragnienie to rośnie w niej coraz silniej. Postanawia przyjąć na wystawę pod swoim nazwiskiem dzieło Jana, postanawia to niezlomnie. Wie, czuje, iż będzie dobre, wielkie i piękne, wie, iż będzie jej, bo cała jej istota lepsza przepaja sobą twórczość Jana ze szczodrobliwością królewską.

— Bierz! czerp z mego ducha...—myśli silnie, zwrócona i rozmodlona wzrokiem i sobą w stronę jasną bielą błyszczącego okna—drogi, dobry duchu!...

Oddaje mu się tak cała jasna i czysta, wykwiatając ze śnieżnych szeregów narcyzów.

Dobra jest i dobroć tę swą promienną wysyła jak gońca ku temu, który w noc bezsenną rozrywa pęta wiążących go lata całe kajdan.

W przeświadczeniu tem, że to, co się w nim dzieje, ona sprawiła, zaczyna ją ogarniać nie uspokojenie, ale jakaś дума radosna.

Tam płonie lampa, rozpalona jej dłonią, i rozświetla kręgi istnienia artysty. Poczyna się w jej świetle dzieło natchnienia, rozwijają się skrzydła, które zgmiotła ohydna, straszna miernota, wysługująca się społeczno-towarzyskiemu artyzmowi.

— Drogi... dobry...—powtarza Anka.

Dla niej w tej chwili Stalewski nie jest mężczyzną w sile wieku, mężem pani Stalewskiej, człowiekiem pięknym, o powabnym uśmiechu i slichnej cerze, pod koroną srebrnych włosów.

Dla niej Stalewski, ten, którego cień przesuwa się na tle bieli stopy, to sama abstrakcja, to uosobienie i esencja jego duszy, przez którą w tej chwili wypromieniowuje za pomocą Dzieła jego siła twórcza w formie linii, barw i ich Harmonii. Ku tej abstrakcji wyciąga ręce Anka i ku niej kieruje się jej szept:

— Drogi... drogi...

W zapamiętaniu tem, nadzwyczajnem i słodkiem, zupełnie niespodziewanie wykwita ku niej twarz blada, trójkątna, obramowana pasmem czarnych włosów. Twarz ta ma dużo w sobie czegoś ludzkiego, lecz otacza ją poszept tak rozwiewny, że Anka przeczuwa treść i istotę tej myśli, nimbującej dokoła czarowną głowę.

Noc to pełna cudu dla Anki, bo oto opływać ją zaczynają wizye piękne i dobrotliwe, a ona ku nich jak brzoza, wichrem gięta, wyciąga swe ręce.

Ku jednemu jako podporę, ku temu drugiemu z wdzięcznością prawie rzewną.

— Przez niego dla nich!...

— Silnie w tej chwili wybiega drogą myśli ku Narbuttowi, tam, gdzie on z taką królewską hojnością rzucił jej najpiękniejszy klejnot, rozjaśniający blaskiem cel i przeznaczenie jasnovidzeń artysty. Poszła jego torem... Co będzie?... co wyniknie? nie wie jeszcze, ale iść pragnęła, iść umiała.

Przyzywa go całą siłą ku sobie, trwoży się i oblicza, czy stało się według jego woli, czy taką ścieżką szła, jaką on jej w myśli zakreslił. Pragnęłaby go spytać, lecz to uczucie odgraniczenia, ja-

kiego doznała, widząc go po raz ostatni, przepelnia ją nieśmiałością.

Zrozumiała wtedy, że coś pomiędzy nim a nią zaszło, że przez ten czas on wszedł w krąg wypadków i wydarzeń silnych, na które ona niema wpływu, bo pochodzą z niego samego i są niejako ciągiem jego istnienia.

Narbutt!...

Wspomnienie ręki, wysuwającej się w ciemności i chwytającej jej rękę, zalarło się w niej niemal zupełnie. Wyższy zatoczył się krąg, inteligencja serca nawet działać tu przestała. Zbudziła się Siła oddziaływania i rozbudzania innych przez moc chęci duchowego ruchu w szlachetnym kierunku. Anka przepojona wdzięcznością, myśli o Narbucie. To koło, które ją do niego nie dopuszcza, mistyczne i tajemnicze, czyni go w jej oczach jeszcze doskonalszym i wyższym. Wyjawił jej Tajemnicę, jej przeznaczenie, i odsunął się teraz w swą świątynię, niedostępną i pogrążoną w lazurze. Pozostawił jej wrażenie wielkiej światłości, która przesunęła się przez jej życie, dał cel objawieniom jej artysty, i nagromadzoną mądrość swego życia zużytkowała w rozjaśnieniu ciemni innych istnień. Przedewszystkiem ciemni... Stalewskiego.

Tak.

Narbutt dał jej Stalewskiego.

Pozwolił jej zwracać się w tej chwili do tej szarej sylwetki, snującej się na bieli firanki z dziwnem, porywającym uczuciem, które sprawia jej rozkosz niezrównaną.

Teraz rozumie, dlaczego nie czuje już „nieśmaku“ na myśl o Stalewskim żonatym, Stalewskim, uznanym ilustratorze, panu willi, obywatelu, wyborcy i t. d.

Ona poprostu tego Stalewskiego już nie zna.

Ten człowiek, z krwi i kości dla niej nie istnieje. Żyje tylko ten drugi, wolny, wielki, twórczy, cichy i jasny.

Żyje ten—cień!

A właściwie cień ten, to sama treść istoty; cielesność, to powłoka chwilowa, zmaterializowanie konieczne, i ono to dźwiga ciężary i słodczyce ugód społeczno-towarzyskich.

Ono „musi...”

— Ten cień nie zna musu!...

Anka oddycha lżej.

Ten podział, to wysondowanie swego uczucia, czyni ją nad wyraz szczęśliwą. Nie będzie doznawała goryczy na myśl o Janie. Samo szlachetne i piękne wrażenie wykwiatać w niej będzie na myśl o tym... drogim.

Nie popełni nic zdrożnego, nawet w zasadach, przyjętych przez świat, wolno wykwitnąć uczuciom na tej ścieżce. Nie lęka się, że spotka się tam z tą kobietą, rozdzwonioną brelokami i grzechotkami błyskotliwej swej natury. Ścieżka to cicha, po obu stronach obwarowana milczącymi Archaniołami, o stulonych, jak liście hyacentu, skrzydłach. Milczą Archanioły, trzymając nieruchomo ręce, złożone na uśpionych piersiach. Ścieżką tą iść trzeba wolno, spokojnie i cicho, aby nie spłoszyć skrzydlatych Strażników.

Jeżeli się zbudzą bodaj krzykiem, lub zgrzytem, ulecą, rozwiawszy skrzydła.

A ścieżka w mgłę się rozwija...

Anka stoi tak cicha i milcząca przy kracie, sama, jak archanioł, owiana wonią narcyzów.

Nagle, drogą od miasta, wloką się jakieś głosy. Ktoś mówi, sprzecza się, drwi, szydzi, to znów wybucha gniewem.

W Ance, która zaczynała wnikać w prawdziwą istotę szczęścia, w ten rdzeń, z którego wytryska poznanie, a więc odczucie takiej cichej, szeroko rozpostartej błogości dusz prawych—ten głos. a raczej te zmieszane głosy odbiły się bolesnym echem.

Doleciały do niej falą—lecz ich treść, ich myśl rozlewa się już w niej tragicznością niecodzienną. Nie może sformułować, czego chcą ci ludzie, o co im chodzi; ona tylko, będąc sama w ekstazie czystej prawdy, przeczuwa, iż tam jest także pościg za prawdą i spokojem, lecz pościg na błędnej ścieżce, pełnej majaków, widm i uludy.

I wie, czuje, kto tak wlecze się tą ścieżką.

Gdyby głos nie rozkołysał dzwonu fal powietrznych, ona swą astralną istotą wybiegłaby na spotkanie. Myślą przed chwilą powiała ku Narbuttowi, jak rozkwitłym pod ciepłym jej dłoni kwiatem.

I oto szedł on sam.

Lecz za nim włócił się czarny cień.

Leljan

Idą.

Kroki Narbutta w zygzak szaleją. Chwilami wstrzymuje się nad brzegiem rzeki i kolysze się tak, jakby wahał się, czy nie paść głową na dół. I zaraz z ironicznym śmiechem rzuca:

— A jakże... wydmie się brzuch... Ofelia jak balon, albo pęcherz, nadęta pływa... flak, flak... po

wierzchu fali. Lubicie Kamelie... Ofelio!... tobie pisałem, królowo... Znadto kocham piękno... ażebym ginął, jak ta dziewczka anemiczna... co?...

Zwraca się i przecina gościniec, tuląc się niejako pod mury i sztachety willi.

Natyka się na Leljana.

— Stróżuj!—mówi ochryplym głosem—stróżuj, bo jeszcze łeb gdzie sobie rozwałę i cały „sznitt“ śmierci dyabli wezmą! Stróżuj, Neronku z Krowodrzy... Żywa pochodnia? ha? Tylko zamiast słomy i smoły, absyntu zielonego, fałszowanego, szklanczek dwie. Pół jednej w moją wybitną indywidualność, pół za kołnierz w fałdy flanelowej higienicznej koszulki, druga, druga... znów indywidualność i trochę z niej w mordę koltuna, który jadł wurstla, i pił... co on pił?...

Zatrzymał się i myśli. Kołysze się na rozstawionych nogach, tragicznie ściga bruzdy na czole i myśli...

— Co on pił?...

Bawi go to, że w tej właśnie chwili, kiedy w najszersze horyzonty dusza mu się wyrывa, kiedy to koło, zatoczone czarodziejsko, ogarniać zda się wszechświaty, a z niemi może jasność zagadki bytu, on ma władzę, ma możność ściągając cugle, smagać biczyskiem najdrobniejszych czynów, nie mających dla krótkowzrocznych nic z duchem wspólnego.

— Wurstle... i co on pił?

Tragiczność go otaczała wielkiej, czarnej, tajemniczej nocy. Z ziemi, z wody, z płonących w oddali ogni, dobywały się przecucia uspokojenia tych, którzy zwątpili. Wszystko wiało możliwością powrotu rozdrobnienia jedności, rozdrobnienia pozornego, formy przejściowej, łańcucha pereł Buddy, powiązanego ogniwami myśli, pełnych cudu.

Czuł to, rozumiał pijany mózg Narbutta, rozumiał właśnie może jaśniej i doskonaiej, niż w chwili sennej twórczości. Płonął i tym płomieniem łączył się z ogniem, tryskającym purpurą i ciepłem, płynącym z ziemi i z ruchu napozór śpiącego świata. On stał na punkcie, z którego przenikał ciemności. bo wewnętrzny żar podniecał mu myśl, a myślą dążył tam, gdzie objawienie słowa wstępu mieć nie może. I pomimo to działał podwójnie. Myślą szybował, przenikał, zgadywał, słowami mścił się za nieudolność wyrażenia tego, w czym duch jego nurzał się i pлавił.

A więc powtarzał:

— Co on pił?

Leljan syknął zniecierpliwiony:

— Idź!...

Narbutt ramionami wzruszył.

— Czego ty mnie tam wleciesz? Gdy przyjdzie czas, trafię sam. Pozostanę nieruchomy na właściwym miejscu, i przyjmę na się rolę przeczenia dla tych, co węższą rozkład ciała, aby z czystym sumieniem powiedzieć: Aha... niema nic!... Szesnaście moich części, z których się złożył mój człowiek, rozleje się w zieloną maź... Ozirys miał wracać po 3,000 lat przecież... zielona maź!...

Leljan ujął go pod rękę i wolno gościniec włókl.

— Chodź!... przekonasz się, czy poczujesz dreszcz. Powiesz mi? co?

— Neronku Krowoderski... Neronku...

— Milcz!

— Co? co? nie podoba ci się to miano? Głupis! Chcesz wiedzieć? Głupis!...

Szarpnął się i znów stanął na środku gościnca.

— Głupis!

Byli tuż pod willą Stalewskich. Anka ukryła się za sosną amerykańską, rosnącą w kącie ogrodu.

Drżała, było jej zimno, smutno, straszno.

— I chcesz, żebym ci powiedział prawdę?... — zaczął Narbutt z uporem pijaka — to ci powiem, że ja ciebie całego znam... nawskroś... Ty masz fluid, ale to bezwiedny... fluidem działa szynkarz w karczmie, gdy chce rozpoić chłopą, fluidem działał Napoleon, gdy pchał ludzkie ścierwo na armaty, fluidem działał pomywaczka, którą zdradza mąż, elefluidem wywiódł Mojżesz, fluidem wiał Kryszna, Hermes, Mahomet, Cagliostro i inni prestidygitatorzy o sławie wszechświatowej... Fluidem działa na nas, na mnie, na ciebie, durniu jeden, księżyc... kiedy wyjesz do niego z tęsknoty...

Zatrzymał się i nagle w dziwny jakiś sposób, strasznie nieludzki, a przecież nie zwierzęcy, zawył przeciągle, jękliwie.

— O... jak mnie roznosi! — dorzucił — wsłuchując się, jak jęk biegł i konał w oddali.

I porwała go czkawka.

Rad jej był, zaakcentował ją silnie.

— Jak się to zwierzę żali... — zachichotał — że mu za pełno po brzeg naleli...

I cichym głosem dodał:

— Nie dobrze mi... tu gdzieś pachną kwiaty...

Po co one pachną?... to w sercu grzebie pazurem... Won z niemi!... niech zgnijają!...

Czepił się krat i z niepojętą siłą zaczął je rozsuwać.

— Tu... tu są kwiaty...

Leljan pociągnął go znowu.

— Chodź do lasu. Tam niema kwiatów. Zobaczysz, gdzie staniesz się Sahu¹⁾.

¹⁾ T. j. istniejącym już tylko duchem.

Narbutt, nie puszczać prętów, aż przegiał się, jak kłown, ze spazmatycznego śmiechu.

— Sahu!... Sahu!... Ty durniu... czego ty używasz słowa i słowa. Sahu!... Ty fluidem swoim bezwiednie możesz nakazać nawet gest śmiertelny, ale nie słowem. Tyś... nażarł się Sar Peladanów, Cattle-Mendésów, błazeństw Rachildy, i teraz wymiotujesz to z siebie, a kołtuny myślą, że to twoje.

Wstrząsnął prętami i naraz, osunąwszy się na kolana, zaczął się żalić:

— Och, te kwiaty!...

I w ślad potem:

— Och, ta czkawka!...

Nagle ku niemu rzucił się Leljan:

— Jakesz mnie nazwał?

— Durniem!...

— Mnie? .

— Ciebie, Kaligulo... Demonie z Mościsk... Fularo przedęta z wód Gangesu... psie Prestigiariusie snobów o kołtuńskich pyskach...

— Milcz...

— Nie, nie zamilknę, boś wżarł się we mnie i jesteś siłą mego czynu i inspiracją mego ostatniego gestu... Ale zrozum, że tyś tylko mechaniczna siła, bo to, co mnie w śmierć niesie, to nie twoja wola... ale moja własna i moje Pragnienie wrócenia do tego, z czego się oderwałem...

Leljan pochylił się nad nim.

— Łzesz!... to ja was wszystkich na śmierć wysyłam.

— Och! och!... Leljanku... uzurpujesz sobie prawa Imperatora... Chcesz przejść w stan legendy... Ty łzesz... boś za żaden i jeszcze na dziesiątym podemną stopniu. Ja stoję na granicy, która ma po za swym lasem świętym pojęcia, tobie jeszcze niewyśnione...

— Co ty wiesz?... Ja będę pisał dzieło o Jaźni.
— Istota bytu... och, te kwiaty!...

Lecz Leljan, rozszoszczony prawie po dziecinemu, usiadł Narbuttowi na karku.

— Przyznaj, że jestem najinteligentniejszym człowiekiem w Galicyi.

— Duszo! serce! nie mogę!

— Przyznaj!...

Dławił i dusił pijanego Narbutta. Ten puścił pręty z rąk, a że wetknął głowę do wnętrza ogrodu, pręty zacisnęły się w koło jego szyi i uwięziły go nad kwiatami!

Zaczął się szamotać, lecz nie mógł się wydostać.

— Trzymają, jak w kleszczkach... a te kadzielnice żywe modlą się ekstazą w nocną ciszę pod moim rozemdlonym nosem...

I porwany furją obrzydzenia wszystkiego, co piękne, zawołał:

— Gińcie... ohydnie... jak ja ginę!

Struga cuchnącej cieczy polała się z jego ust prosto na śnieżne narcyzy i pokorne aksamitne bratki.

W Ance zamierała dusza.

.....

Szamotanie u prętów trwało dalej.

— Dopomóż, Neronku, wydostać się...

— Przyznaj, że jestem najinteligentniejszym człowiekiem w Galicyi.

— Co ci z tego przyjdzie, kiedy ani ja nie wierzę, ani ty...

— Przyznaj, że jestem najinteligentniejszym człowiekiem w Galicyi...

— Przyznaję!...

Leljan zeskoczył z karku Narbutta i pręty rozsunął.

— Chodź!...

Ciężko dźwignął się z ziemi Narbutt.

— Dziękuję ci. Człowiek nie lubi patrzeć i wachać własnych zbrodni i nieczystości. Co chcesz?... jestem jeszcze z szesnastu części złożonym pawianem...

— Chodź!...

— Ty chodź do miasta... ja już wiem, gdzie to jest... ja tu trafię.. szlakiem twoim... i tamtego... Tu on jeszcze fosforyzuje... ty go nie widzisz, boś niższy odemnie... ja go widzę, jak się po drodze rozwlókł... o!...

Ance żywo stanęła przed oczyma wizya czarnego wozu, sunącego drogą ze zwłokami samobójcy, a za nim te świetlane punkty, rozwleczone po drodze, to coś promiennego, co zgasnąć nie mogło.

Teraz Narbutt wziął pod rękę Leljana.

— Wytrzeźwiałem trochę... zapraszam więc Nerona na orgię... Fortepian ochrypli... peniuary podejrzaney czystości... kapłanki z Kołomyi, świeżo od balii porwane... a potem czarna kawa z cykoryą w spelunce żydowskiej...

I już z oddali:

— O!... *la tristesse de tout cela!*...

.....

Cisza zapanowała zupełna.

Tylko delikatnie szemrzą fale rzeki, a w mieście gasną światła jedno po drugim.

Anka stoi nieruchoma, lękając się nadejścia świtu.

Bo on rozświetli zbezczeszczone kwiaty, i jej twarz pobladła, i jej duszę zmartwiała.

Mimo wszystkiego bowiem, czuje wyższość i siłę Narbutta ponad jej siłą, i jest on zawsze wolą jej woli, tak, jak Leljan jest znów wolą jego woli.

I dlatego rozumie dobrze, iż nie poradzi nic i jest bezsilna względem niego, względem tego stoczenia się na dno po wyzwolenie mordercze, zbyt wczesne i tem samem katowskie w swych skutkach.

Anka, przeciążona bólem, pragnie jakiegoś wytchnienia.

I oto źrenice jej, lez i smutku pełne, zwracają się tam, ku temu oknu, po za którym światło nie gaśnie.

Snadź zbudzona dusza już zasnąć nie może, czy nie chce.

XXVIII.

Cicho, lekko otwiera się to okno, jakby jakieś skrzydło myśli Anki załopotano do niego i otworzyć mu się kazano.

Cień człowieka zjawia się w świetle.

Jasno odziany, srebrnowłosa, pochyła się tak, jakby szukał kogoś, wyczuwał, że i ta drżąca istota ku niemu się garnie.

— Anko!

Z narcyzów, z bratków, wysuwa się ku niemu biała postać kobieca.

Podchodzi do okna.

— Wiedziałem, że jesteś blisko — mówi Stalewski — praca mi była łatwiejsza...

— Praca?

— Tak... tak... pracuję ciągle... chodź pani do mnie... zobacz, co zrobiłem.

Podaje jej ręce.

Anka lekko wspina się po murze i za chwilę jest w pracowni.

Poczępiałą się jej szat nasturczye o zamkniętych uśpionych kielichach i szerokich, jasnych liściach.

Oplotły ją zwojami zieleni i przystroili wdzięcznie ni to ondyne, ni to dziewczynę, idącą do trumny.

— Patrz! — mówi Stalewski — oto, co zrobiłem.

Mówi nieśmiało, jest blady, wycieńczony, okryty potem.

Na wielkiem, białem płótnie podmalowane ściernisko. Równina wielka, bezkresna i beznadziejna. Równina taka, jaką się widzi na Rusi, gdzie od tyfusu głodowego ludzie mrą, a po drogach chyłą się krzyże pod sosnami, wygiętymi w kształt lir.

Słońce już zapadło i niebo przybrało barwę ołowiu. Niema nic, ani nawet echa, ani śladu, że była jakaś jasność, bodaj krwawa, bodaj tragiczna we wspaniałości swojej.

I na tem ściernisku, z którego wykwitają tylko, jak las maluchnych gromnic, żdźbła zmarzłe, wyrasta jedna postać, niemal nadnaturalnej wielkości, owiana czarną, o bladych odcieniach, płachtą.

Jeszcze w tym ogólnym zarysie rozpoznać nie można, kim jest ta ona, żalobna, ze ściągniętymi fałdami kirowej opony dokoła ciała. Jest w tem jednak takie bezdno rozekłania, roztesknienia i beznadziejnej melanchotii, że w umyśle patrzącego po-

wstaje obraz zwichniętych przeznaczeń, starganych sił i tragicznych chwil tych, którzy nie mają... przyszłości.

Anka nie mówi nic, tylko patrzy, i mocą wyobraźni przechodzi w tę czarną marę ugorną, jak drogowskaz na samobójczej mogile.

I jest nią w tej chwili milczenie.

I zna jej tajnie.

I zna jej twarz.

I wie, że objęcie jej przytulne i smutne, jak objęcie chmury, co ogarnia wierch, z którego koso-drzewinę wichry stargały.

I osnuwa się kirem jej szat, ona biała i jasna.

Bo ten kir rozprzestrzenia się nad nią, jak nocna ciemnia rozciąga się nad sennemi koronami kwiatów.

Wie, że ta czarna postać nie zejdzie z tego beznadziejnego ścierniska, wie, że jej tak trwać sądzono i czernieć coraz żalobniej, i coraz silniej otulać się w kiry.

Bo ona jest Dolą ludzi, którzy nie mają nawet krwawych zachodów, ani Poświaty słonecznej nie biorą na szarość swego życia w zapadłe i zmęczone żrenice.

Jest ona Dolą ludzi, która wykwita w ostatnich godzinach wtedy, gdy klosy zżęte i do śpichrza zwiezione.

Teraz ziarnem z nich tuczyć się będą inni, ci, którzy z pogardą myślą o pracy, jaką miał ten, który uprawiał pole, pożyczając plugów, strojąc swe zasiewy w kąkol, aby pole jego było piękniejsze i barwniejsze, niż pole sąsiada.

Po zżęciu klosów pozostaje beznadziejne, smutne ściernisko.

Włóczy się po niem perz, włóczą się resztki ziarn, lecz nic już nie kwitnie, nic się nie zazieleni.

Jesiennem wyciem przeciągnie wichry, załka, zegnę żdźbła szkielety i rozplynie się w dal...

Czasem trup chomika zastygnie w martwocie maluchnego dziecka.

I szaro, i pusto, i głucho...

Wtedy na pustkę, na głuszę, na szarość przywieje czarna, wyniosła postać i stanie na straży.

W żrenicach jej bezsłoneczne niebo, w opuszczeniu widmowych rąk beznadziejne jutro.

Obok Anki Stalewski niespokojny śledzi wrażenie.

Nie może się pozbyć jeszcze zupełnie dawnych przyzwyczajzeń. Troszczy się drobiazgami.

— Prawda? — pyta — są błędy w rysunku?

Anka nic nie odpowiada.

— Bez modelu... trudno mi... przywykłem.

Lagodnym ruchem przerywa mu Anka.

— Czemu się troszczyć o powierzchnię—mówi—troszka powinna sięgać głębi.

Stalewski utkwil niespokojnie oczy w Ankę.

— Zdawało mi się... — wyrzekł przyciszonym głosem — że dobyteł *ją* z głębi swej duszy.

Anka, cała zamieniona w żrenice, zwróciła się ku niemu dziwnie wzruszona.

— Tak... — wyrzekła — to całe spłynęło z duszy pana.

Wielka, ogromna radość ogarnęła Jana.

Rozbłysł nią cały, jak gdyby wewnątrz niego ktoś zapalił lampę przejasnego szczęścia.

— I przynasz to za swoje przed światem?

— Przyznam — na chwilę. Gdy znajdę w tem dość siły i młodości, ujawnimy nazwisko pana.

Lecz on wstrząsnął głową.

— Nie, nie. Skoro uznajesz to za godne swej twórczości, niech to już tak pozostanie. Zeszłoby dzieło moje do dziedziny złośliwego figla. Nie darowanoby mi tego nigdy. Ja to pragnę nie dla nich, lecz chcę to odczuć dla siebie. Chcę sam nabrać przekonania, że coś wart. Sam — rozumiesz mnie, Anko?...

Teraz ona rozbliła całą radością. Uczuła, iż ten człowiek zrzucił z siebie zupełnie szatę pajaca, skoro brzydzi się już błyskotliwością tryumfu, jaki mógł odnieść nad swymi wrogami.

Zaczynał rozumieć wartość wewnętrznych wzruszeń, pragnął mieć je dla siebie.

Wnikał w głąb własnej duszy!...

Zwróciła ku niemu swoją twarz rozjaśnioną, a w pełnym świetle olbrzymich, pracownianych lamp, zwieszających się od stropu, zdawała się być oblana całą blaskiem i jasnością. I wyciągnawszy ku niemu rękę, uśmiechnęła się szlachetnie i pięknie, a z uśmiechu tego, jak kwiat z pomiędzy liści, rosą sperlonych, wykwitło jedno śliczne i nawskroś ko-biece słowo:

— Dziękuję!...

Pochylił się ku tym rękóm i oczami do nich przylgnął.

Ustami — nie śmiał.

Były mu dobre, przyjazne i drogie, chłodziły rozpalone powieki i wnikały mu we wnętrze źrenic, jakby z eteru wypromienione.

Przed nimi, na ściernisku, czerniała smutna, żalobna, owita w kiry, Dola tych, którzy... przyszłości nie mają.

XXIX.

— Waryat!... Waryat!...

— Gdzie?... gdzie?...

— W oknie... w hotelu, na pierwszym piętrze... chodź! chodź!...

Wybuchy śmiechu — radość. Pędzą ludzie o zwierzęcych twarzach. Kupa ich czarna, jak robactwo nieczyste, tłoczy się pod oknami hotelu. Niektórzy włączają na dorożki, które ściągają jak do pożaru, lub przed knajpy o nocnej porze. Przeważają kobiety, sługi z koszami prezentują zczerniałe nad rądlami pyski, wykrzywione błogim uśmiechem. Wszyscy pootwierali usta. Patrzą w górę. Ujawniają czarne podniebienia złych psów i spróchniałe zęby.

— O!... o!... teraz znów staje w oknie!...

— W koszuli tylko pod paltem...

— Cylinder ma... widzi pani... cylinder.

— I w kaleszonach... to skandal.

— Coś gada!...

— Cicho...

Zamknięto bramę hotelu. Zarządca, zły ze skandalu, szuka kluczy do drzwi, łączących numery. Wejściowe do korytarza są zamknięte na wewnątrz. Nie sposób się dostać. Waryat nie chce otworzyć. Wczesnym rankiem porwał się z łóżka. Otworzył okno i teraz ma przemowę do tłumu, wyjącego z uciechy na ulicy.

— Obywatele wyborcy!... Obdarzony przez was zaszczytnem zaufaniem, pragnę, ażebyście zrozumieli, kim jestem... i jak szeroko pojmuję... zakres...

Gwizdy, piski — przerywają mu mowę. Lecz on, błady jak płótno, tragiczny, z rozpiętą na piersiach koszulą, przechyla się po za ramy okna i znów zaczyna:

— Obywatele wyborcy!... Obdarzony przez was.

Po tłumie przebiega aż dreszcz rozkoszy. Widowisko dobre i mile. Coś z cyrkowych aren. Dzieki zwierzę szalu wpilo się w mózg człowieka. Zanurza weń kły, zmusza do tych konwulsyjnych skurczów, któremi czepia się okna. Tłum, dawniej zalewający swem zbiorowem cielskiem kamienne kręgi cyrku, teraz tłoczy się cuchnący i brzydki na dole, podnosi łeb i przeżuwa w sobie dreszcze.

Sciągają tu nie dlatego, że przeczuwają niecodzienne zdarzenie, w którym chcą wziąć jakiś udział, wynoszący ich na chwilę ponad równię szarości dni zwykłych, lecz gnają w potrzebie wyładowania pewnej seryi gestów i grymasów, które są wynikiem stanu ogłupienia i oderwania się od myśli własnych, a stan ten, wedle ich określenia, „weselością“ się nazywa. Więc są „weseli“, tłocząc się na tym chodniku, mając ponad sobą tę białą twarz starca, jego rozwichrzoną brodę, jego źrenice, których męt jest całą głębią szalonych, drgających światów, jego rasowe ręce, na które wybiegły siecią postronki żył.

— Obywatele wyborcy!...

To jedno słyhać coraz słabiej, coraz chrapliwiej. Oczy waryata coraz krwawsze, z ust ciecie ślina. Tłum zagłusza go śmiechem. On gestykuje, pragnie przekonać, że przyjmuje wybór i usprawiedliwi zaufanie. Prąd szaleństwa płynie od niego ku nim. Ktoś go poznał. Rzucił jego nazwisko. I nagle tłum rozkołysał się tem szlacheckiem mianem z wyciem i gwizdem:

— Zagrodzki... Zagrodzki...

Jakby nawoływali psa, lub rzucali kamieniami w rzekę, tak ciskają jego mianem w przestrzeń.

On słyszy to. Dziękuje. Rękę przykłada do serca. Zdaleka pojawia się wreszcie policya. Lecz

tłum jeszcze nie widzi tych, którzy zakłóca mu igrzysko. Teraz najlepsza wre zabawa. Zagrodzki, podniecony, upojony sukcesem, szaleje coraz więcej.

Wyciąga ręce ku niebu... przysięga tłumowi bronić jego praw politycznych i zdobywać nowe... Wyrzuca z piersi potoki tych mów, tych wniosków, tych interpelacyi, które nagromadził w sobie latami całemi, i nie mógł nigdy wydać z siebie, dławiąc się niemi w musowem milczeniu. Teraz to wszystko ziele na głowy tłumy lawiną, kaskadą belkotu wśród kłębów śliny, ociekających mu brodę. Ku niemu coraz usilniej wznoszą się spocone gorącym i podnieceniem twarze tłumy. Nie są ciekawi nawet tego Straszego, tej niezbadanej Tajemnicy, która otoczyła sobą człowieka, wepchniętego nagle w świat uludy, który jest obecnie dla niego światem rzeczywistym, nie—oni się bawią.

Szeroko się bawią.

Nagle w pokoju stać się musiało coś niezwykłego, bo oto zakłębilo się przy oknie po za starcem. Kilku ludzi rzuciło się na niego z tyłu i rwą go do wnętrza pokoju. Dobrali snadź klucze. Tłum zawył, jakby żalownie, że mu wydzierają zabawkę, która mu nerwy łaskocze.

Lecz oto już ma inną.

Placem biegnie młoda kobieta w ciemnej sukience, biegnie szalonym pędem ku hotelowej bramie. Roztrąca ludzi, oczy ma wlepione w okno, w którym widać waryata, szamocącego się ze służbą hotelową. Kobieta ma wypieki purpurowe na twarzy, usta rozwarłe... Wpada w tłum, rozpycha, szarpie tych, którzy jej drogę tamują.

— Puśćcie mnie, puśćcie!...

— No... czego się panna rozpycha?

— Chce panna w pysk?

— Waryatka!... o!...

Część tłumu zwraca się ku Ance, zaczynają ją szarpać, popychać. Ona ich nie widzi. Wpija w nich kurczowo palce, patrzy ciągle w okno.

Odrzucają ją od bramy, nie pozwalają jej postąpić, otoczyli ją żelaznym kołem.

— Widzicie, przyleciała teraz i chce widzieć.

— Pcha się do pierwszego rzędu!... — śmieje się jakiś kapelusz Panama.

— Ulicznica!

— Puście mnie!...

Lecz ci, którzy nie wiedzą, co się dzieje koło bramy, aż ryczą z uciechy.

Oto szaleniec uczeplił się rękami szyldu fryzjera, który dosięgał do jego okna, i stawia opór, wstrząsając tablicą, z po za której wala się gruzy.

Policya już jest przed hotelem.

— Ustąpcie!... ustąpcie!...

— Woda go — krzyczy tłum.

Ktoś ze służby właśnie w tej chwili cały dzban wody wylewa na waryata. Zachłysnął się, porwał za głowę. Wycie tłumu odpowiedziało mu z dołu... W zamieszaniu zapomniano o Ance. Dopadła do bramy, wstrząsa nią.

— Puście mnie do ojca!

Zagrodzki rwie się jeszcze do szyldu, lecz deska, oderwana z haków, wali się na dół z hukiem i łomotem. Tłum na chwilę się cofa. Służba hotelowa opanowuje gesta Zagrodzkiego, odciągnęli go od okna. Słychać przeraźliwy krzyk.

Tłum powraca falą na chodnik. Rzuca się ku spadłemu szyldowi. Zbiera gruzy, haki, wykonywa całą seryę bezmyślnych czynów.

Krzyk ponawia się.

— O!... biją go!... wiążą!...

U bramy Anka kaleczy sobie palce o żelazne listy i kwiaty, pokrywające pół szyby.

Zdaleka słychać trąbkę.

— Pogotowie.

Ktoś ze służby zamyka okno. Lecz nikt z miejsca nie rusza. Widowisko nie skończone. Będą jeszcze szalenca wieźli do szpitala, więc możliwość ryczenia, pędzenia za karetką, wycia, jak stado psów dzikich na stepie zblakanych.

Ktoś z wewnątrz hotelu poznał Ankę.

Otwierają bramę ostrożnie, jakby w chwili obłężenia.

— Proszę pani... prędej... ojciec pani zwarował.

— Wiem... wiem...

Tłum z całym impetem rzuca się ku bramie. Chcą wpaść do wnętrza. Rozzuchwalają się. Wszak tam, wewnątrz, rozgrywa się tragedia. To przecież nie ma prawa pozostać w zamknięciu. To do tłumu należy. Lecz stróż hotelowi uderzeniami pięści po twarzach wyrzucają tych, którzy za Anką wtargnęli do bramy.

— Co to jest?

— Biją!

— Policya, biją!...

Oburzenie, huk groźny. Ruch na ulicy zatomowany. Przed cieleśkim czerwonym tramwajów nikt ustąpić nie chce. Cała teoria wagonów stoi, czekają opamiętania i swobody.

Wewnątrz hotelu wre. Goście gromadami stoją na schodach. Dzwonki bezustannie dzwonią. Służba biega bezradna. Lękliwi pozamykali się w numerach. Jakaś pani dostała spazmów, inna żąda rączki i chce natychmiast hotel opuścić.

Zarządca hotelu biegnie naprzeciw Anki.

— Sliczna historia!... — rzuca się ku niej z wściekłością — jak pani nam mogła ojca zostawić?

Ona nie odpowiada nic, nie wie, nie może. Spadło to na nią tak niespodzianie. Wiedziała, że jest zdenerwowany, ale przecież nie szalony...

I teraz nie wierzy.

Usuwa zarządcę, wpada do pokoju. Widzi ojca, leżącego na ziemi, związanego ręcznikami, zlanego wodą. Usta ma przewiązane ręcznikiem, aby zatać jego krzyk. Oczy wyszłe z orbitów, straszne, krwiste, jak dwa czerwone rubiny. Nad nim pochyleni klęczą parobcy. Przytrzymują mu ręce i spętane nogi. Rozkrzyżowali go tak na jasnych różach dywanu, pomiędzy aksamitem liści, i nie nie zdoła określić tragizmu tej postaci, winkrutowanej w kwiaty najstraszniejszą grozą i lękiem. Ludzie zrównoważeni powalili i ujarzmili istotę, która się wykołoiła nagle z szyn, i jak wir podwodny zamąciła bieg unormowanych z wysiłkiem fal. Zbity, stłuczony, związany, zlany własnym potem, śliną, wodą, zwałany kałem, leży szmat ciała, nad którym duch się pastwi siłą swą rozpętaną i rozhukaną nagle w zrzuceniu tryumfalnym jarzma.

Na kolana, jak przed ołtarzem najwyższej boleści, upadła przed ojcem Anka.

I znów, jak zwykle, mówi:

— Ojczel!... to ja!...

Dzieje się cud wielki, a przecież niezrozumiały dla tych, którzy wnikać w głąb codziennych cudów nie chcą, czy nie mogą.

I dlatego parobcy, klęczący nad szaleńcem, goście, cisnący się ku drzwiom — nikt nie wnika w przyczynę, dlaczego z tych zakrwawionych źrenic szaleńca na szept córki ustępuje na chwilę groźny męt.

Krwawość ich przysłania jakby mgła opalowa i przeogromny smutek, jaki wypływa z czarnych, martwych miejsc górskich, gdzie słońce nigdy nie

dochodzi, zdaje się wiać aż ku rozpalonej twarzyczce Anki.

Anka ten smutek odczuwa tak strasznie, że dusza jej zanosi się lkaniami wichru, dzwoniącego po ugorach śmiertelne hymny.

Wyciąga ręce ku ludziom.

— Rozwiążcie go!...

— Aha... żeby nas pozabijał?

— Nic wam nie robi!... rozwiążcie mu przynajmniej usta. On się dusi!...

Zarządca się zbliża.

— Pani daruje, on krzyczy. Gości nam wystrasza. Panie po numerach mdleją ze strachu...

— Ależ on jest teraz spokojny! Prawda, ojczu, będziesz spokojny?...

Z krwawych źrenic szaleńca, po trupiej twarzy, płyną dwie wielkie lzy.

— Patrzenie, on płacze... on cierpi... rozwiążcie go!

Sama się rzuca, zdejmując ręcznik z ust opuchłych. Pochyliła się, ociera lzy, pot, wodę, którą jest zlany.

— Ojczu, poznajesz mnie?

I znów ten wyraz bezdennego smutku, który w niej zdaje się targać najgłębszą strunę ducha. Tak, ten człowiek chory, ten człowiek, który utracił spójnię równowagi swych części składowych, z których jego istota do tej chwili się tworzyła, zwracał się światem swych uczuć ku przedłużeniu swego normalnego istnienia w formie drugiej, oderwanej od niego istoty—ku dziecku swemu.

I ten świat uczuć musiał widocznie najdłużej i najsilniej panować ponad innymi światami, w których istota ludzka przebywa, bo zwyciężył ich wir i szal, i wypłynął cały w bezgranicznej melancholii oczów waryata, w tych łzach, płynących po zmarszc-

czkach skroni, i w tem milczeniu, w jakie nagle popadły przed chwilą rozkrzyczane w bezładnej męce dźwięków usta.

Ginąca część istoty zdawała się z pokorą poddawać na usługi tej, która wstawała ku słońcu, młoda, sił pełna, władająca myślą, duchem, ciałem swem z równowagą zupełną.

Do ciemni wciskała się masa komórek, niezdolnych już do samoistnego bytu, a duch zrzucił, jak pokrowiec, poszarpane włókna, cuchnące i poruszające się z trudem. Ni ruchu, ni ciepła, ni wstrząsnień świętych, lub niskich, tylko pośpiesznym tempem zgnilizna i unieruchomienie dobrze ułożonego na wiórach trupa.

Lecz przedtem taki smutny łańcuch, wiążący z tem, co pozostanie, jakby żal, jakby niepewność, czy zdoła to drugie „ja“ odczuć, gdzie prawda i spokój, choć pozorny.

— Czy potrafisz być mną innym? — pytały źrenice szaleńca.

— Uspokoisz się i znajdziesz we mnie tę błogość z poznania w sobie samym skarbów najwyższej i najdoskonalszej szczęśliwości. Będiesz tym, który starczy sam sobie i przeżywa ciche a cudowne chwile, w których cierpienie wydaje się nam źródłem nieprzebranych rozkoszy. Będiesz tym, który spokojnie czekać będzie, aż się wypełni całe przeznaczenie twoje, i wracać będziesz myślą do chwil dobrych i szlachetnych, a nie do tych, w których los zmusił cię opuścić prawy spokój pierwotnej natury twojej! I potrafisz odczuć czar mgły porannej i pierwszą słoneczną strzałę, i ostatni jego blask, i wchłoniesz w siebie widmo słoneczne, co się kładzie na rżyskach olbrzymim dyamentem, migocącym siedmiobarwną tęczę. I zrozumiesz, że poszum jednej akacyi, która o czerwonym południu

rozbieli się śniegiem swego kwiecica, zagłuszyć może wycie całego tłumu drwiących z ciebie istot. I wejść ja, a za mną ty, na ścieżkę, na której po obu stronach stoją milczące Archanioły, z rękami, założonemi na piersiach, miłosne i dobre. Wtedy zaznasz rozkoszy usunięcia się w cień, a patrzenia w słońce, i przestanieś walczyć z losem, a wejdziesz z nim w przyjazny układ, który ci da możliwość doskonalenia się pod razami przeznaczenia, i odzyskasz swobodę i piękność gestów instynktu, które jedynie są twej naturze drogie i konieczne. I zaznasz szczęścia... bo będzie ono zawisłe jedynie od ciebie samego!...

To mówią źrenice Anki, wpatrzone w skrważone oczy ojca.

U drzwi szum, szelest kroków.

Szybko wchodzi młody człowiek, ciemno odziany.

— Lekarz!... psychiatra...

Badawczo potoczył wzrokiem po pokoju.

— Proszę podnieść chorego z ziemi... niech zbytne osoby wyjdą. Kto pani?

— Córka.

— Proszę zostać i kilku ludzi na wypadek niech stoi przy drzwiach. Co panu?

Zagrodzki widzi twarz obcą, przychylną, inteligentną.

Opuchłemi ustami szepcze:

— Jestem wybrany... partya kontrkandydata rzuciła się na mnie... nie dała przemówić do tłumu.

— Tak, tak... — odpowiada doktor, patrząc

badawczo w twarz starca — właśnie mówiono mi o tem. Ale partya zwalczona rozeszła się. Nic już panu nie zrobią.

— Chciałbym jednak...

— Przyjechałem po pana, mamy pana zawieźć do ratusza. Tam czekają na pana.

— A... to dobrze, dobrze...

— Niechże się pan ubierze...

Z trudem Zagrodzki dźwiga się z łózka, na którym go położono.

— Dużo się moich zeszło? — pyta gorączkowo.

— O! cała partya. Będzie pan mówił, ile pan zechce. Przedtem wstąpimy do komitetu wyborczego.

— Gdzież on?

— Niedaleko. Wynajęliśmy na ten cel osobny lokal, zaciszny i spokojny. Nikt nas nie wysledzi...

Doktór zwraca się do służby hotelowej:

— Pomóżcie panu radcy ubrać się!

Skinął na Ankę, odprowadził ją ku oknu:

— Gdzie zawieźć ojca? — zapytał. — Czy macie środki na zakład prywatny?

Anka czuła, że blednie trupio.

— Do... zakładu?

— No tak. To trudno! W domu go trzymać nie można. To mania polityczna, która jest równoważna z manią wielkości. Nieuleczalna. Wolę pani powiedzieć całą prawdę. Więc... do zakładu?...

— Tak.

— Sam go odwiozę.

— Może... ja...

— Nie, nie. Bardzo być może, iż zacznie się rzucać, krzyżeć. Kobiety się denerwują i denerwują nietylko chorych, ale i całe otoczenie.

Mówił szybko, energicznie. Widać było, iż po-

trafił wywalczyć w sobie nadzwyczajną siłę, którą się odznaczają pogromcy dzikich zwierząt w cyrkach.

— Pani mi tylko podyktuje nazwisko ojca, wiek, zatrudnienie.

Wyjął notatkę, zapisywał.

Przy stole drżąc, chwiejąc się, stał Zagrodzki, na pozór ubrany, w paltocie, jasnych spodniach, w krawacie, związanym na nocnej koszuli, z cylindrem i laską w ręku.

Straszny był, siny, z krwawymi plamami na twarzy i rękach.

W chwili, gdy doktór zwrócił się ku niemu, położył laskę i cylinder na stole i zaczął pośpiesznie zbierać leżące na serwecie papiery.

— Moje wyznanie wiary... wszystko przygotowane... muszę zabrać...

— Bardzo, bardzo słusznie — przyświadczał, zbliżając się, doktór.

— Pan ma ładną laskę! — wymówił, biorąc laskę w rękę i oglądając ją na pozór uważnie.

Potrzymał chwilę laskę i korzystając z tego, że Zagrodzki zajęty był papierami, podał ją Ance.

— Proszę to schować.

Zbliżył się jeszcze więcej do szaleńca i delikatnie ujął go za wiszący krawat.

— To nie ładna krawatka. Stara, zniszczona. Wyborcy czuliby się dotknięci, że pan tak zaniedbany do nich przychodzi. My wstąpimy do sklepu i kupimy nowy krawat.

Szybko rozwiązał krawat i oddał go Ance.

— Mógłby się udusić — rzucił jej szeptem.

I nagle zapytał ją półgłosem:

— Czy ma sztuczne zęby?

— Tak, górną szczękę.

Doktor już znów układnie stanął przed Zagrodzkiem.

— Pan mówi niewyraźnie... to źle... mowę trzeba powiedzieć dobitnie i tak, żeby ją każdy słyszał... Co panu w usta.

Zagrodzki belkotać zaczął:

— Scisnęli rącznikami...

— Nie, nie. Tam jest coś w jamie ustnej. Pan pozwoli obejrzeć.

Jedna chwila nieufności ogarnęła Zagrodzkiego.

Cofnął się i z pod brwi ściągniętych patrzył na doktora.

Lecz ten nie zmieszał się ani na chwilę.

— Pan ma źle wprawione zęby — wyrzekł swobodnie — dlatego pan źle mówi. Niech no pan pokaże.

Zagrodzki cofał się ciągle, dumny i nieufny. W oczach migotały iskiarki.

— Widzi pan—zaczął półgłosem doktor—ja to radzę panu dla pańskiego dobra... Jeżeli wyborcy nie rozumieją pana, mogą jeszcze zrzucić wybór pana. Bóg wie! Niech się pan śpieszy... karetka czeka, dalej, dalej, komitet się niecierpliwi.

Sięgnął ręką ku ustom waryata. Szybko, zreźnie, jak laskę, jak krawat, usunął z ust steroryzowanego Zagrodzkiego fałszywą szczękę, którą rzucił na łóżko.

— A teraz w drogę!

Anka zrobiła ruch, jak gdyby chciała się do ojca zbliżyć, doktor zatrzymał ją stanowczym gestem.

— Niech pani zostanie... służę panu!

Ujął szaleńca pod rękę i poprowadził ku drzwiom. Na schodach stały milczące grupy ludzi.

Zagrodzki na ich widok zatrzymał się znów nieufny, jakby przecuciem tknięty.

— Proszę! — mówił doktor — niech pan idzie śmiało, to są wszyscy pana zwolennicy. Proszę!..

Zagrodzki wyprostował się dumnie. Uśmiechnął się bezzębными ustami i z miną rasowego wielkiego pana, który doszedł tam, dokąd całą siłą zmierzał, zaczął, podtrzymywany przez doktora, schodzić po schodach wysłanych dywanem.

XXX.

Rozpachniało się, rozsloneczniło tak, że istota ludzka nie była poprostu w stanie wchłonąć w siebie tego złota, tej woni, tego blasku.

Rankiem wyszła Anka na ganek i stoi, i patrzy, i chłonie, i kocha, i obejmuje a tuli miłośnie tę cudowność, która się przed nią roztacza, wnika w nią, z pod stóp tryska, owiewa kłębem woni, płynie strugami z wyżyn szafiru. A drzewa szumią leciuchno, trawa nieruchoma napozór, a życia taka pełna... A tam, w oddali, baldachim lasu, obramowany srebrną ścieżką wrzosów.

I las leciuchno szumi, delikatnie przesyłając ku Ance ten szum, pełen rozkosznej tajemnicy rozwinętego w pełni życia.

I zapomina Anka, że na tej ziemi ojcowskiej przysiadła chmura posesorskiej bandy.

Pozostawiła za sobą wspomnienie czarnych, żalobnych chałatów i oliwkowej cery, wśród której

zarzą się węgle oczów, nie pomni już o swym pokoju dziewczęcym, pokoiku, w którym rozwijał się kwiat jej duszy, kwiat jej ciała, a teraz czerwienią się purpurą brudnych perkalików stopy betów na małżeńskich łóżach, gdzie śpią płodne pary posesorskich potomków. Pomnać o tem nie chce i gna ze siebie wrażenie gorzkie, jakie ścisnęło jej sercem, gdy w pokoiku narożnym, gdzie umarła powoli i cicho, jak umiera zraniony gołąb, jej matka, zasrebrzyły się przed nią ociekłe mlekiem blaszanki mleka i uderzyła w nią woń gnijącej w beczcze kapusty. Całą noc, którą przebyła w naprędcie uprzątniętym dla niej pokoju, to rozprzestrzenienie się brutalne dławilo ją i sen z oczu spędzalo. Przyjechać musiała. Kontrakt z dzierżawcą się skończył. Ojciec w sanatorium. Miano wyznaczyć kuratora. Obecność jej na tej wsi była konieczna. I oto zdręczona, pełna żaloby, wobec nieszczęścia, jakie ją dotknęło, wpadła w tę otchłań sprofanowanych pamiątek, rozdeptanych szczątków jej dzieciństwa. Cała religia pamiątek, jaka w jej sercu rosła kultem nieprzebranych skarbów, druzgotała się w proch siłą faktów i mocą tej rozbieganej, czarnej hordy, która poganiała garstkę zuchwałej i hardej służby folwarcznej, równie chudej i smutnej, jak te konie biedne „posesorskie“, bandą o zachodzie przygnane do studni i pod żórawiem zbite.

Gdy jednak ruch przedziwny zaświtał i rozśpiewało się ptactwo na krzakach, pod oknami ronsących, Anka porwała się z łóżka i wodą zimną obmyta, smukła a jasna, w słońce i zieleń wybiegła.

Z ganku uszedłszy, okrążyła gazon, na którym ciemniały kępy bratków, przez nią jeszcze sadzone. Po środku ogromny krzak róży białej rozwiewał swoje śnieżne kwiaty. Płatki białe wicher strząsał na werweny liliowe i rezedy zielone. A wszystko to

rosło już tak mocą nalogu, mocą przyzwyczajenia. Bo nikt z pośród chałatów przy tych kwiatkach nie ukląkł i dłoni miłosnej, a do pielęgnowania skorej nie wyciągnął.

Rosło, wdzięczyło się to słońcu, Bogu, sobie rozpiętej kopule szafirowego nieba, nie dbając, że, byli tu zbyt liczni ci wonni goście w aksamitnych, szatkach. Trzymali się gruntu i nie pytali się o nic, zjawiając się ze słońcem letniem, gdy od polnych; kwiatów płynęły ku nim hasła i nawoływania.

Anka ogarnęła wzrokiem ten klomb, przy którym modliła się tyle razy staraniem około piękności kwiatu, spojrzała w dal na wyniosłe brzozy parku, co drżały, delikatnie rozsypane na tle szafiru.

Wszystko było tak piękne, świeże, wonne i jasne, jak poprzednio.

Ankę coś wewnątrz ducha zabolalo w odczuciu tej niezmiennej świeżości. Stała jak wryta i smutek powlókł jej twarzyczkę. Chwilowa radość znikła. Zaczynała jej być gorzej moralnie, niż tam, u Żydów, w domu, gdzie się tyle zmieniło.

I nie wiedziała już, gdzie lepiej: czy tam, gdzie się wszystko zmienia, czy tam, gdzie z biegiem rzeczy strasznych nie zmienia się przecież nic.

Od drogi, w białej płótniance, szło zjawisko brzydkie, ohydne, straszne.

Taczało się to, podrygiwało, powracało w zwykłą linię. Białe odziane kształty kobiece. Twarz, owinięta chustami, straszna, o ceglastej barwie. Przez plecy przewieszona torba.

Anka poznała ją natychmiast.

Sługa żydowska z karczmy poczęła, jak zawsze, nosi.

Podchodzi ku niej, list z torby wyjmując, pijackim gestem uklon składa.

Nieprzenikniona ironia aż bije od tej córy ziemi, która zda się grobową cerą w lono ziemi wprasać.

Anka odbiera od niej list i jakieś drzenie przebiega jej ciało.

Poznaje pismo Stalewskiego.

Odjeżdżając pozwoliła mu, a nawet prosiła, aby pisywał. Tłómaczyła się przed sobą, że nie chce zerwać kontaktu duchowego, jaki się między nimi wytworzył, że mu to konieczne do nabrania siły i wytrwałości, a przecież lekkie zmieszanie ogarnia ją teraz, gdy list ten trzyma w ręku. I zmieszanie to nie pochodzi od niej samej. Przeciwnie, ono płynie z tego listu. To one, te ćwiarteczki, złożone i uwięzione w kopercie, przejmują ją niepokojem, bo z niepokojem musiały być w dal rzucane.

Jak to źle!—myśli Anka—jak to źle!... czego on siebie i mnie niepokoi, czego?

Idzie w głąb parku, gdzie lipy ogromne dźwigają się z szeregów brzoź, a dęby samotnie, wyniosłe, pośród zapuszczonych trawników się wznoszą.

Alejami zarosłemi idzie wolno Anka ku żerdziom, które odgraniczają park od pól, wezbranych złotem żyta. Idzie wolno, czyta list.

Anko!

Dzielo moje prawie skończone. Patrzę w ten kąt płótna, gdzie położyłaś swój podpis, a który tak zazdrośnie kryję jeszcze przed oczami ludzi. Z tych kilku liter, z tej „Anki“ bije ku mnie cała twa siła, wielka i niespożyta. I patrzę na to, co tworzę, a troską moją największą to jest niemożność dostrojenia się do twej czystej, nieskalanej prostoty, jaka jest podwaliną twego Dziela.

Anko, obraz mój coraz więcej staje się mną, a ja staję się nim samym. Ja go nazwałem: „Moje dzieło“, nic więcej, tylko Dzieło, a to będzie wszystko. I tragizm mój życiowy, i rozcięzona modlitwa dni obecnych. Ja nie wiem, com stworzył, Anko, ale to było moje i we mnie lata całe. To wiem jedno, że poczęte jest chyba w duszy, bo wyczerpało mnie do dna. Ale nie fizycznie. Tamte dzieła moje odbierały mi siłę w mięśniach, to każe mi chwilami omdlewać i stawać się pustym i chłodnym, jakby we mnie żdźbło myśli kielkować już więcej nie mogło. Lecz tyś miała słusność, Anko. To jest najlepsze, co jest wewnątrz nas, to, co przechodzi zewnątrz do wewnątrzności, to przemawiać może. Ku tobie się zwracam myślą i sercem... Widzę cię jasną, białą, w twych lekkich sukniach przywianą o nocnej ciszy do mej pracowni. Jesteś tak piękną, Anko, czy twoje mają jaśń dyamentów, których nie skalal jeszcze żaden wzrok nikczemny. Wywołuję cię z mgły i myślę, jak mogłem tak długo żyć bez ciebie i twej siły? Gdzie byłaś do tej chwili, ty, której oczy stały mi się tak potrzebne, a linia zjawiska tak droga...

Z rąk Anki wysunął się list Jana i upadł na obramowanie sukni.

Niepokój jej wzrastać zaczął.

Tu, między temi drobnymi liniami, wiją się, jak węże, jakieś inne myśli, inne pragnienia. Tu coś nieokreślonego kierowało tą ręką i układało te zdania, lecz to coś idzie dalej, a raczej osuwa się w jakiś bezdnie, do których i Ankę za sobą wlecze.

Oparta o żerdź stoi Anka i na twarz jej wystąpiły dwa rumieńce.

Zdaje się jej, że Jan jest tuż przed nią, że chłonie w siebie jej oczy, linię jej ciała, i w tem odnajduje siłę. Tak pisze... Tak on pisze... Lecz może jest to tylko pomyłka z jej strony. Ten niepokój, to zwykły stan zdenerwowania po tylu ciężkich przejściach. Może krzywdzi Jana i siebie...

Podejmuje z ziemi list i czyta dalej.

Rzeczywiście — już same sprawy technicznej natury.

Dalej, wiadomości o ojcu, którego Jan odwiedził dwukrotnie w zakładzie. Zagrodzki ma się względnie dobrze. Je, śpi mało, ale jest o wiele spokojniejszy. Objawy jego szalu nie są ostre, mania polityczna nie jest hałaśliwa. Przeważnie pisze artykuły wstępne. Ma ciągle jeden monotony gest... jakby coś rozrzucił w powietrzu. Mówi dosyć, ale wymowa jego jest utrudniona. Dwa razy był karany i zawiązywany w kaftan.

Oto wszystko.

I z oczu, z myśli Anki znika już w tej chwili Jan, jego Dzieło, niepokój, którym list jest przesiąknięty. Pozostaje jej tylko to odczucie straszego bólu na myśl, że tam, o przestrzeń pewną, ojciec jej, spowity w pęty „kaftana“, głową siwą bije powoli o kwadrat poduszki, a z gardła jego wydobywają się charkliwe, okropne dźwięki.

A pod czaszką jego chaos krwawy, ból, szum myśli płomiennych, jego, cudzych i tych które ca-

łym łańcuchem trącały o jego wyobrażenia, aby wydał z siebie ów dźwięk, który rozdzwonił się nad nim hymnem straszego pogrzebu.

To wszystko daleko... tam...

A tu zieleń, woń, złoto.

I to jest właśnie jego ziemia, jego drzewa, jego kwiaty. Dzieckiem biegł w cień lipy, a kwiecie białe i wonne spadało mu na jasne włosy. On patrzył tak na skraju parku na pola, wezbrane chlebem, i cieszył się do słońca, i kochał dziecięcą duszą zieleń tych drzew, biel kwiecia, szum gałęzi w słońcu, lub ich nieruchomość w księżycowej topieli.

I ona, Anka, dzieckiem tak samo wmadlała się w to Piękno rozkwitłych zbóż i oddawała swą duszę całą w tę modlitwę. Zdawało się jej, że każda brzoza zna jej myśl, że każda werwena uśmiecha się do niej laskawie. Były to jej druhy i siostry. Cała ta zieleń wiosenna, to złoto letnie, ta miedź jesienna, ta biel zimowa — to było to, co jej sercu najmilsze, najdroższe i najbliższe.

Zdawało się jej, że gdy zboląła przybiegnie do brzoź po pociechę, to w ich szumie znajdzie dźwięk współczucia. Inaczej być nie mogło. Przyroda nie mogła być niewdzięczną. Ona w jesienne wichry, gdy z jękiem gięły się ku ziemi drzewa, a mróz warzył zapóźnione bukiety bratków, ona cierpiała smutna i biedna. Gdy spóźniła się wiosna, słała ku czerniącym się żalobnie gałązkom gorącą myśl, chcąc dodać im siły do przebycia dni smutnych. A gdy skwar lata chylił ku ziemi liście i trawy, dziecięcym sercem wymadlała czarną chmurę i załzawionemi oczyma patrzyła na słońce, chcąc mgłą tych łez przysłonić żar piekący...

Więc ona żyła z przyrodą i w niej samej. Bolała jej bólem, znała jej cierpienia.

Dziś przyszła zdrewniona życiem, obolała i smutna. Oprócz bólu, miała jeszcze na dnie duszy niepokój jakiś wielki. Drżało w niej to, co było lepsze, drżało i mdlało.

I po latach kilku tak zmieniona, z bólem, z krzyżem swym na ramionach, stanęła wobec werwen i róż, weszła pod baldachim dębów i lip, pod kaskadę gałęzi brzoź, ona, teraz aż drżąca cała od wichrów zimnych, co ją ku ziemi gięły.

I przyszła, i stanęła zdziwiona, widząc, że te brzozy, te dęby, te werweny, te pola, jednako rozkwitły, rozpachniały, rozwiały się przepychem i krasą nad jej żalobą, czy nad jej uśmiechem. Jednak na wiosnę roztuliły się pąki młode i wystrzeliły w niebo zielenie delikatne i czyste, jednako trawa młoda pokłon słońcu nosła, jednako rozszumiał się dąb i zagwarzył chmurą zbudzonych ptaków.

Czy chodził po tych alejach czarny chałat, wrogi jaśni i zieleni, czy snuło się dziecko jasnowłose, dokoła którego biegały motyle, czy szła ona z tragedją swoją i ojca w sercu—to było jedno.

Rozszumiało się, rozpachniało, rozsloneczniało tak, że zdawało się, że istota ludzka nie zdoła wchłoniąć w siebie tego blasku i tej woni!

Ankę ogarnął bunt i żal.

Obojętna, głucha, samolubna, szła swą tryumfującą drogą Przyroda, nie dbając o nic, o to, że krwią ocieknięta dusza ludzka przed jej majestatem upada i o współczucie błaga.

I wtedy Anka zrozumiała wreszcie, że ci, którzy mówią, iż ukoić można ból ducha i smutek w litości Przyrody, kłamią.

Albowiem oni tylko przynoszą przed jej tron swój ból, lecz równocześnie i siłę swą wewnętrzną na ukojenie tego bólu.

A piękno przyrody jest pozorem, na którym opierają tę siłę wечно odnawiającego się nawet w swym bólu ducha.

Bo on jest najpotężniejszą i najdoskonalszą już częścią, która do wyzwolenia i powrotu w jedność zmierza.

Duch ludzki!...

A jemu podległe duchy drzew, kwiecica, ziemi. Podległe — i on sam.

I jego części.

Tak!

XXXI.

Telegram wezwał ją do miasta.

Wracała jak szalona.

Telegram był krótki:

Ojciec ciężko chory—przyjeżdżać.

Jan.

Prosto z dworca zajechała Anka do zakładu, gdzie był umieszczony jej ojciec.

Czyste, gładkie ściany kurytarzy. Cisza tak wielka, że aż dreszcz przejmuje. I gdy się tu wejdzie, jedna ciągła myśl: Dlaczego tak cicho? Jak ją uzyskać można tu właśnie?

Przez okna kurytarzy widać zielen drzew. Akacje anemiczne i smutne. Pod niemi snują się milczące postacie.

W oddali gwizdże kolej, czasem słyhać świergot wróbla.

Anka, prowadzona przez lekarza, idzie szybko po białym, płóciennym chodniku.

Zdaje się jej, że tu żyją wszyscy. Żyją, czują, chodzą, poruszają się, a przecież to już jakieś inne życie, jakaś wielka, odrębna moralna egzystencja...

Minęli ją posługacze. Twarze obojętne, skronie nabiegłe żyłami. Niektóre ręce wielkie, jak gałęzie drzew, odrąbane ku dołowi. Palce zagięte, jakby ciągle gotowe do podniesienia jakiegoś ciężaru. I bary silne, narosłe mięśniami.

— Pani ojciec coraz częściej dostaje napadów szału. Uznaliśmy za stosowne zawiadomić panią o tem — mówi lekarz.

— Czy i teraz?

— Nie, w tej chwili jest spokojniejszy. Ale to tylko uluda. Wiem, że to powróci. Pan Stalewski mówił mi, iż pani w liście swym wyraziła życzenie, ażeby nie używać kaftana. Proszę pani, co my mamy począć?... Nie nadużywamy, ale używać musimy.

Anka zatrzymała się na środku kurytarza.

— Czyż nie ma innego środka? — zapytała błagalnie.

— Jak do tej chwili—nie ma. To w interesie samych chorych. Powtarzam pani, że nie nadużywamy. Ojciec pani jest dotknięty ostrą formą manii politycznej. Forma ta zaostrza się ciągle. Zawody były zbyt silne. Szkoda człowieka. I nie pojmuję, że pani nie powstrzymała ojca na tej fatalnej drodze.

Szybko i jasno mówił ten doktor o dużych, wyrazistych oczach, które bystro z pod brwi na Ankę patrzyły.

— Bo niech pani pomyśli, ile sił społecznych marnuje się w politykowaniu płaskim a daremnem, w pościgu za urzędami o marnej płacy a jałowej pracy... Jaka szkoda, że społeczeństwo nasze nie zwraca raczej myśli ku wyrobieniu tegich sił—ludzi, którzy gdziekolwiek ich losy rzuca i życie poniesie, wszędzie potrafią znaleźć grunt pod nogami i wszędzie zbudować swą przyszłość, przymnożyć pośrednio, czy bezpośrednio, dorobku krajowi! Co? prawda?

Ogluszył Ankę lawiną słów. Czuli, że miał rację. Lecz jej ból i cierpienia wypowiedziały o już dawno milczeniem swem tragicznem i rozpaczy pełnem.

— Ot... ojciec pani! — ciągnął dalej lekarz, wskazując na zamknięte szczelnie drzwi, przed którymi stali—ot, wyteżał swą myśl w zaczarowanym kole politycznych targów i wyścigów. I zniszczył nietylko swą harmonię, ale i harmonię pewnego odłamu społeczeństwa.

Anka oparła się o futrynę drzwi i patrzyła pośpnie przed siebie.

Zdawało się jej, że nagle stanął przed nią jakiś prokurator i formuje cały akt oskarżenia. Nie dość było bólu i cierpienia odosobnionego. Teraz jeszcze występowało z prawami swemi społeczeństwo, nie to, które kamieniami ciskając, wyło: „hamaj Kiciu“, lecz to, dla którego dobra..

-- Niech pani nie sądzi—mówi dalej lekarz— że ja jestem przeciwny polityce. Ona musi być. My musimy dojrzeć politycznie, ale tu właśnie u steru muszą być ludzie głębszych uczuć, rozumu przenikliwego, ludzie, pragnący dobra, a rozmaicie patrzący na polityczne ukształtowanie się życia... Ja jestem przeciw kramarstwu politycznemu, rozumie pani, przeciw kra-mar-stwu..

Wybijał to słowo i oczy jego przybrały wyraz surowy.

Ujął już za klamkę drzwi, ale się jeszcze ku Ance zwrócił.

— Gdyby ojciec pani pragnął utrwalić dzielność, a właściwie samodzielność swego charakteru, zanim się wziął do polityki, nie byłby doszedł do tych rezultatów. A teraz — służę pani.

Otworzył drzwi i postać „kramarza“ politycznego ukazała się w całym blasku.

Stał przy stoliku odziany szaro, za ledwo w koszulę i spodnie płócienne.

Tło ściany było szare, jak i kocyk, kryjący łóżko i mur, na który wychodziło zakratowane okno. Anka stanęła na progu, jak martwa.

Byłże to jej ojciec?

Rysy ściągnięte dziwnie, oczy szklane, rozwichrzona broda, włosy długie w kosmykach, ręce drżące.

Był to jakiś starzec, który zdawał się przychodzić z bardzo daleka, starzec nieznany, nieufny i wichrami stargany.

Naokoło niego, na stoliku, na ziemi, leżały sinawe ćwiartki papieru, szare od gryzmołów, czasem przecięte jakimś zygakiem, jakąś linią.

Ujrawszy wchodzących, Zagrodzki czemprejdzek karteczki zgarnął i na środek pokoju postąpił.

— Wyz...na...nie wiary!... — belkotał z trudem — wyz...na...nie wiary!... po...li...tyczne wyznanie...

I sennym, dziwnym gestem kartki te drobne rozrzucać przed siebie zaczął.

A był to senny gest, powolny, cichy gest, co wznosił starca dłoń...

Szarością tłaó wkół, szarością smutnych dni.

A ponad szarość snu ta wyschła, starcza dłoń rozrzuca widmo-siew, rozrzuca widmo-ziarn.

A był to szary dzień... Przesmutny szary dzień!...

Z jękiem cichym Anka przywarła się do ściany, wtula się w swój ból.

To jej słowa, jej myśl. To teraz drażni ten biedny, chory mózg. Może zaznałby trochę spokoju. W obrazie, przez nią nasuniętym, jest ów mus, który go katuje. Anka przypomina sobie tę scenę w hotelu, gdy wykonała ręką ów gest rozrzucającego na wichry Siewcy, a on go pochwycił, powtórzył.

Otworzyła oczy. Patrzy znów na ojca. Wyczerpany jest, znużony. Pot mu z czoła spływa.

Lecz ciągle, ciągle jeden gest... ten senny, smutny gest!...

— O! widzi pani, rozrzuca polityczne swe przekonania... — mówi doktor.

— Nie, panie! — odpowiada Anka — to dla niego symbol... Ten gest co innego znaczy.

Lekarz czuje się obrażony.

— Pani daruje... ja znam moich chorych. Rozpolitykowanie ogarnia go i teraz.

— Panie... on wniknął w swą duszę. On dobywa z niej widma tych przejawów, które miał

w sobie i rozrzuca je na wicher, na pustkę, na nic.

— Niech będzie... ale przyzna pani, że ten gest jest denerwujący. On sam się nim szalenie denerwuje. Musimy go unieruchomić. Wkładamy mu kaftan.

— Ależ on tym gestem nikomu nie szkodzi.

— Sobie przedewszystkiem.

— Lecz skoro założycie na niego kaftan, wtedy wpada w szal.

— Naturalnie. Jest jednak wtedy nieszkodliwy.

Anka ręce łamie.

— Więc po co, po co!

— Trudno, musimy zapobiegać.

— Czy mogę do niego podejść?

— Naprawdę. Nie pozna. Wszak pani widzi, iż patrzy na panią, jak obcy.

To zimne, krótkie słowo.

— Obcy!...

I patrzy na nią, jak obcy, tak obcy, ten smutny, stary starzec, który sieje przed siebie ciągle siew ziarna swych myśli, przejawy i odruchy tego, co w nim myślało i szło, zda się, wytkniętą drogą do celu.

Kurytarzem, po białej ścieżce chodnika wlecze się Anka.

Idzie wolno, oddycha ciężko.

Lekarz pożegnał się z nią i wszedł do sąsiedniego pokoju.

Smutna, zgnębiona, ciernie ma na ramionach, ciernie ma dokoła siebie.

Na nią, u końca kurytarza, czyhają dwie postacie, rosłe, silne, z rękami zagiętymi haczykowato, jakby do dźwigania ciężarów.

Stoją ci ludzie i patrzą boleśnie w zalawione oczy dziewczyny. Czekają, laszą się w nadziei dobrego napiwku, dbali jedynie o siebie, bez żadnego wnikięcia w majestat bólu, jaki mają przed sobą.

Anka, pogrążona w swej żalobie, przechodzi mimo. Otuliła się w skrzydła i nie widzi, że do nich dobierają się chciwe ręce.

Przeszła.

Obleśne uśmiechy znikły, zmieniły się we wrogie, fatalne spojrzenia.

Brutalność rozpasanych zwierząt zionęła ze złych twarzy.

— Widzisz ją... bez napiwka!...

— Niech ją zatłucze.

— Poczka, szelmo!

— Stary zapłaci.

— Grzbietem.

— O!... slysz... wyje!...

Wprawne uszy posługaczy po za drzwiami różniają każdy jęk, każdą skargę obłąkańców.

— Pewnie znów...

— Dam ja jemu! Rano robilem porządek...

Poczka, stare próchno.

I kilka jeszcze słów cuchnących, na ludzką, tragiczną nędzę rzuconych.

A potem ciężkie kroki szybkie ku pokojowi Zagrodzkiego.

Otwarcie drzwi, wtargnięcie gwałtowne, serya przekleństw, łomot, krzyk i cisza.

Wielka. szpitalna — cisza.

Anka w tej chwili wychodzi z gmachu i myśli:
— Jak oni uzyskują tę ciszę?... jak oni uzyskują taką wielką ciszę *tu* właśnie?

XXXII.

Przejeżdżając koło gmachu Wystawy, Anka widzi duży ruch.

Wnoszą paki, z tylnego wejścia drzwi szeroko otwarte, jakby na przyjęcie gości. Jacyś postąńcy niosą obraz, starannie osłonięty. Za nimi wlecze się kilku uliczników. Przed gmachem grupa wyrostków z „głowami bajecznych“, o gwałtownie oryginalnym wyglądzie. Pomiedzy nimi malarka w czerwonym berecie na zbyt dużej głowie i w dziecinnej zakopiańskiej guńce. Anka poznaje „młodych“, i to ich przybieranie póź, zapożyczone od „starych“, zagranicznych, działa na nią przykro. Stoją tak przed gmachem, pozując dla tłumu przycięciem szczeciny włosów, jaskrawą odzieżą, rozwiewając sztandar zewnętrzności.

— Dziś nasze święto!...

A dzieła ich zakryte szczelnie przed oczami tłumu.

Tylko ci, co brzękną trochę centów, mieć będą dumne prawo ujrzeć, co ta młodość w duszy swej rozpala.

Dla całej reszty młodość swój płomień reprezentuje szopą włosów, beretem, krzykiem i grubiaństwem słów.

I Anka marzy o takiej „wystawie“ młodych, na którąby miał wstęp każdy, kto pragnąłby u źródła młodego piękna ożywić się i sił nabrać do dalszej egzystencji.

Byłoby to, jak owe święta jabłoni lub kwiecia, o wiosennych dniach kryształnych, w które wolno każdemu poić się pięknem rozkwitłego kwiecia i chłonąć w siebie jego świeży czar.

I byłoby to rzeczywiście święto Młodych, święto piękna ich dusz... ich dzieł...

Ich święto!

Gdy Anka mija gmach, przypomina sobie, że i ona bierze udział w tem zamkniętem, zacieśnionem gronie wystawowym.

Ona — nie ona.

Jej dzieło — nie jej dzieło.

Wydobyła je swoją duszą z głębin nie swojej duszy.

Nie stworzyła, a przecież była twórcą.

Nazwisko jej, rzucone na płótno Stalewskiego w chwili odjazdu i starannie przez niego ukryte, teraz się ujawnia na szarem tle ścian i staje się własnością ogółu.

To, co było nicią, brylantami tkaną, ich dwojga, poszło pod zimne, stalowe światło dni codziennych.

Sądzą, komentują, rozbierają grudki farby, liczą centymetry...

A czy wnikają w głąb duszy?

W tych myślach pogrążona, dojechała Anka do willi Stalewskich.

Na razie nie miała innego schronienia.

Pusto było za kratami.

Pustka w oknach, na werandzie, w ogródku.

Jakieś zimno ścisnęło serce Anki.

Na jej dzwonek do kraty powoli wyszła służąca.

Prowadząc ją na górę, objaśniła, iż pani odwiozła dzieci „na lato“ do matki, a sama wróci lada chwila.

Pana niema w domu.

Dzisiaj odnieśli obraz pana na Wystawę.

Anka o zachodzie słońca pozostała sama.

I dzieje się z nią coś dziwnego.

Była po za temi murami krótko, dni może parę, a przecież stały się dla niej jakies obce, wystygłe, jakby pomiędzy nią, która tu żyła, a tą nią, która żyje, był cały rozdział, przelotem jakiś...

I ta niepewność gruntu, coś jakby się z murów czaiło, jakby ze wszystkich kątów wyglądała ku niej katastrofa fatalna a nieunikniona...

Przedewszystkiem to zmieszanie, ten niepokój, który przywiał ku niej list Stalewskiego i który zdawał się tu szepem w powietrzu rozchwiany.

Upadła na łóżko i długo leżała jak martwa, bez słowa, bez myśli, bez czucia.

W ciemni już szarej, wieczornej, nagle zbudziło ją dotknięcie zgorączkowanej dłoni.

Ktoś ją ujmował za rękę.

— Anko, ty!... ty!...

Wyczuła w tej chwili Stalewskiego.

To on był wistocie.

Wszedł eicho i teraz budził ją z odrętwienia.

— Wiesz... twój obraz, nie, nasz obraz... już tam! już w sali!...

Głos mu drżał. Anka poczuła w jego oddechu lekką woń wina.

I ten drobny fakt przejął ją bólem i lękiem.

Dlaczego? Czy stając się „młodym“ dziełem swoim, musiał i on?...

Usunęła się, lecz on ręk jej nie puszczał.

— Krążyłem dokoła gmachu — mówił — nie miałem odwagi wejść. Oni tam stali wszyscy zachwali, pewni siebie. Gdym spotkał ich wzrok, uciekłem. Zdawali się mówić: „Zasie, stary niedolego!.. czego tu chcesz, trupie?... Tu my, tu nasze królestwo! Panowie siły świeżej, skrzydeł młodych...“ Tak oni zdawali się mówić!... Nie wiedzieli... nie wiedzieli... że właśnie i ja... i moja siła świeża jest pomiędzy nimi. Ha! ha! pomiędzy nimi!...

Tryumfem brzmiał mu głos. Anka czuła, jak płonął cały w dziwnym podnieceniu. Mimowoli i ją ten dreszcz przejmować zaczął.

— Mów mi pan o Dziele, mów mi pan o tem, co stworzyłeś... nie mów o nich.

— Tak... Dzieło, moje Dzieło... nie wiem... nie wiem. Całe w duszy, w liniach... Oni staną zdziwieni. Będą wyć... bo oni „wyją“, gdy się dziwią. Co?... Tak się mówi po młodemu. Płunałem im w oczy. Teraz we mnie pustka. Wydałem z siebie wszystko lepsze i oni muszą wyć.

— Ciągłe pan mówisz o nich, zapomnij! powiedz mi lepiej, czy doznajesz szczęścia na myśl, żeś mógł się wreszcie wypowiedzieć tak, jak pragnąłeś.

Chwilę nie było odpowiedzi.

Stalewski puścił rękę Anki i stał milcząc, w ciemności niemal zupełnej.

— Tak... jestem szczęśliwy... — wyrzekł wreszcie, lecz nuta przekonania nie dźwięczała istotnie w jego głosie.

Na dole zazgrzytała dorożka, szmer kroków w willi, dzwonek u furtki i cichy okrzyk pokojowej.

— A... wielmożna pani!...

I szelest sukni, śmiech nieszczery Stalewskiej zdejmowanie pakunków, przywitanie, rozkazy, ten

cały aparat zbyt szybkiego powrotu do domu osoby, władzę dzierżącej.

Stalewski ku drzwiom się skierował.

— Coś musiało się stać... coś musiało się stać...
—mówił pośpiesznie, drzwi zamykając.

Za chwilę słycać było, jak na progu willi witał żonę.

— Cóż się stało?

Lecz ona przerwała mu z obłudnym uśmiechem.

— Stęskniłam się... po cóż miałam dłużej siedzieć?...

Reszta słów zginęła.

Weszli do willi.

W godzinę później, przy stole, nakrytym huculskim obrusem, siedzieli we troje przy herbacie.

Na środku stołu pod lampą nie konał żaden kwiat.

Story były spuszczone, bo Stalewska nie miała ochoty produkować pośpiesznej zastawy stołu oczom przechodniów.

W świetle lampy wszyscy troje przedstawili swoje piętna dni ubiegłych, piętna zniszczenia, które przeszło przez ich twarze, jakby ogień stłumiony.

Stalewski przedewszystkiem zdawał się być spalony na węgiel.

Na wychudłe policzki wystąpiły plamy, oczy szafirowe nabrały dziwnego blasku.

Widocznie wysilek straszny, jakim wydobywał z siebie zastygłe potęgi twórcze prawdziwego Pię-

na, wprowadził go w stan straszego wyczerpania, które jeszcze nie popadło w reakcję. Upił się młodością i był jeszcze ciągle pijany, a teraz biło z niego to sztuczne podniecenie luną niezdrowią i niepokoju.

Uporczywie patrzył w Ankę. Jej twarz miała delikatną bladość istot, którym brakuje tchu od wewnętrznego lkania, którym jęczy ich dusza. Piękniejszą była jeszcze, niż dawniej, bo cierpienie nadało jej rysom linie twarzy aniołów, strzegących wejść do opuszczonych grobowców. Siedziała milcząca, z powiekami, opadłymi na źrenice. Czula dziwny ciężar, krażący ponad głowami. Nie miała już dość siły, aby odosobnić się i nie brać udziału w tym ciężarze.

Lecz ze wszystkich, najwięcej zewnętrznych zmian ujawniało się w Stalewskiej.

Postępowanie Jana w ostatnich dniach, jego zupełne usunięcie jej od swych prac, wylamanie się z jarzma, ten bunt, który chwiał ich sztucznie lepioną egzystencją, były dla tej kobiety katastrofą straszną, równającą się największemu życiowemu nieszczęściu.

Stalewski odrzucił kilka portretów i dziś zostali zaskoczeni prawie niemożnością splacenia raty za willę, po raz pierwszy od chwili, gdy egzystencja ich weszła na unormowane tory.

Dlatego to Stalewska przyspieszyła powrót ze wsi, aby mózż stanowczo wpłynąć na męża i zmusić go niejako do wejścia w jarzmo. Wrzała cała z gniewu. Złość ta strawiła jej problematyczną urodę. Ciągle zdawała się coś przeżuwać, jakiś potok słów i myśli. Poczerniała prawie, zwiędła, pomimo podkładu pudru. Miała wygląd woltyżerki, której koń, wybornie wytresowany, nagle odmówił

posłuszeństwa; szpieruty użyć nie dozwala przyzwoitość, lecz pozostaje ukryta... ostroga.

Krwi pod czaprakiem nie dojrzy nikt.

Tymczasem — wszyscy troje milczą.

Lecz to milczenie cięży ołowiem. Wszyscy czują, iż przerwać się musi, bo jest nie do zniesienia.

I rozlega się grzechoczący głos Stalewskiej:

— Cóż z wystawą młodych?

Nie odpowiada nikt.

Ona przecież patrzy wprost na Ankę.

— Cóż?... czy bierze pani w niej udział?...

Anka zapomina o układzie, mocą którego obraz Jana uchodzi za jej obraz.

— Nie... nie... — odpowiada — nie dałam nic.

Lecz Jan przerywa sztucznym śmiechem.

— Jakto nic? co pani mówi? Czy Dzieło liczy pani za nic?

— Dzieło?

— No... obraz, który pani dziś posłała?

— A!... tak!...

Szkarlatny rumieniec pokrywa twarz Anki. Czuje, iż Stalewska wpiła się w nią oczami.

— Więc pani posłała obraz i zapomniała? — śmieje się żona malarza.

— Panna Anka ma wiele innych zmartwień, nie dziwnego! — tłumaczy z jakąś układnością Jan.

— Tak... tak... ojejec pani!... ale zawsze...

Zwraca się do męża:

— No, a cóż wy, starzy?... Zapewne odpowiecie tym młokosom. Właśnie nadarza się sposobność. Całą drogę na kolei myślałem nad tem, że należy urządzić wspaniałą okreśną wystawę waszych dzieł z odpowiednią nazwą. Będzie to wyborańską odpowiedzią, a zarazem zniszczycie wrażenie, które oni

mogą uczynić... Przyjdziecie bowiem po nich... A potem, cóż te błazny mogą wyprodukować?...

Zmrużonemi oczami patrzyła na Ankę, mszcząc się kilku słowami za te całe tygodnie niepokoju, w którym teraz żyła.

— Nowatorzy... bazgracz!... kajeciki małego Munia!.. smarkacz!... Tabliczki im szyfrowe, a nie płótno. Chustki do nosa dla otarcia nosków, a nie obrazy...

Śmiała się, pokazując kły, jak mops, wprowadzony w złośliwe usposobienie.

— Pędzła to w rękę utrzymać nie umie takie coś... a zdaje mu się, iż może już wystawę wypełniać... A do szkoły! a do szkoły!...

Zwróciła się znów do męża.

— Spodziewam się, żeś żadnej swojej uczenicy nie pozwolił wziąć udziału w tem blażeństwie? — spytała.

— Nie — odparł Jan — żadna z nich nie posłała.

— Wiedziałam. To są dobrze wychowane i rozumne dziewczęta.

Lecz Stalewski szybko jej przeciął:

— Nie, bo żadna z nich nie mogła wziąć udziału. Na to trzeba być artystą, a to są właśnie kajeciki Munia, o których przed chwilą mówiłaś.

— Przepraszam! Kajeciki Munia, to są rozmaite syntezy... Ja wiem, co mówię.

Lecz nagłe uderzenie pięścią w stół przerwało jej słowa.

— Dość o tem! — krzyknął Stalewski — zebrałiśmy się tu nie po to, aby dać upust jadowi i złości.

Stalewska pobladała. Po raz pierwszy usłyszała ten ton ze strony męża. Oczy jej biegać zaczęły.

Chwilę zdawało się, że oniemiała ze zdumienia i złości.

Wreszcie zwróciła się ku Ance.

— Dziękuję pani!... — wyrzekła, wykrzywiając usta.

Anka zrozumiała wybornie znaczenie tego podziękowania.

Stalewski powstał od stołu.

— Sobie podziękuj!... wpadłaś tu, jak furja. Co ciebie obchodzi wystawa młodych! Zostaw ich z Bogiem. Każdy może żyć pod słońcem.

Stalewska także zerwała się z miejsca.

— Cóż za ewangeliczna słodycz! — zaśmiała się, odstawiając nerwowo krzesło — szkoda tylko, że i oni nie uprawiają tej cnoty. Zdaje mi się, że „pajac“, to chyba nie gałązka oliwna, którą w twoją stronę posłali.

Stalewski uczynił ruch gwałtowny, lecz teraz ona nie pozwoliła mu nic powiedzieć, nagle przejętą siłą rozpętanej złości.

— Tak... tak... Pajac!... stary pajac!... Tak ci plunęli w oczy przyjaciele panny Anki! I będziesz nim, i zostaniesz nim w oczach ogółu, bo nie chcesz nic zrobić, aby zatrzeć wrażenie, wywołane ich słowami! Dobrze ci tak! Dobrze ci tak! Dawałam ci sposobność taką wystawą uderzyć ich po lbach, ale ty pozujesz teraz na ewangeliczną słodycz!... ty wolisz patrzeć, jak się w gruzy wali wszystko, i twoja przeszłość, i moja, i dzieci przyszłość!...

Stalewski wyciągnął rękę, jakby chciał w gardło jej wtłoczyć ten potok słów, lecz ona dalej zionęła skrzekiem i jadem.

— Pan nie ma czasu pracować... pan odrzuca portrety... pan gardzi zarobkiem, bo maluje arcydzieła przy drzwiach zamkniętych, chowa się z niemi,

kryje przed własną żoną. Tak!... tak!... ale przyjaciółkom je pokazuje... przyjaciółkom!... egeryom!...

Stalewski zawahał się, jakby chciał z ust rzucić jakąś straszną obelgę w stronę żony i nagle rzucił się ku drzwiom pracowni. Otworzył je, wpadł do wnętrza i zatrzasnął drzwi za sobą.

Słychać było loskot, ruchy przekręcanego klucza. W jadalni obie kobiety pozostały same.

Aaka siedziała ciągle ze spuszczonei oczami. Ogarniał ją straszny wstyd za to, że i ona bierze udział w tej brzydkiej, pospolitej scenie. Aż dławilo ją od wzruszenia, które przepelniało jej serce. Miała ochotę rzucić się ku Stalewskiej, porwać ją za ręce, zacząć całować, błagać, aby przestała, aby nie sprowadzała tych smutnych wstrętów w jej życie.

Lecz tamta bezlitosna była w swem rozdrażnieniu.

Czuła się w „prawie“ i wiedziała, że każdy przeciętny uczciwy człowiek jej rację przyzna i żalowi jej tamy kłaść nie będzie.

Czuła za sobą cały legion tych, którzy ją podpierali, niejako duchowo zsolidaryzowani wspólnością interesów.

Niewysłowioną pogardą obrzuciła Ankę.

— Bratnie dusze!... — syknęła, wybiegając do sypialni.

Anka pozostała sama.

Po dwóch stronach miała teraz zamknięte drzwi, po za które oboje Stalewscy unieśli swój gniew i rozżalenie.

Ta jasno oświetlona jadalnia, migocąca od sreber i kwitnąca jaskrawością talerzów, porozwieszanych na ścianach, wydała się teraz Ance przepaścią, która rozdzielała tych dwoje nieprzebytą głębią.

A na dnie tej przepaści, dreszczem przejęta, strwożona i zboląła była... ona!

XXXIII

— Ta dziewczyna już kilka razy tu była! — mówi pokojowa, pomagając Ance układać rzeczy.

Anka obróciła właśnie obraz, przedstawiający Piotruškę, i pokojowa prymitywną swą artystyczną naturą odrazu poznała, iż to jest „ta dziewczyna“.

Na dworze szare, dżdżyste przedpołudnie letnie, nagle zimne i prawie jesienne.

Anka pakuje rzeczy machinalnie. Czuje, iż po wczorajszej scenie dłużej tu być nie może, nie powinna. A przecież nie wie, dokąd ma iść na razie, gdzie się podziąć. Cała jej energia życiowa prysła, zginęła pod wpływem dni ostatnich. Zatraciła również w sobie swą zdolność do samej analizy, która pozwalała jej oryentować się w trudnościach życia. Potęga faktów spada na nią, jak stado drapieżnego ptactwa. Nie umie sobie poradzić. Nie wie, co począć.

Zbiera jednak swoje ubogie rzeczy i postanawia opuścić willę. Przechyla się przez okno, aby spojrzeć raz jeszcze na grzędy narcyzów, rozmaitone w ciszy. Pod drzewami widzi chodzącego niespokojnie Jana. Depcze żwir alei i patrzy w jej okno. Spotkał się z jej wzrokiem. Wita ją smutnym, gorączkowym uśmiechem. Widocznie spędził noc bezsenność. W jego wzroku jest dziwny jakiś wyraz

Anka cofa się w głąb pokoju. Rzecz dziwna — zaczyna lękać się spotkania ze Stalewskim!...

Dlaczego pomiędzy nami zaszła jakaś zmiana! — myśli — dlaczego, zamiast spokoju i ulgi, w chwili zbliżenia się coś w nas się szarpie, niemal boli.

Rzeczy są spakowane. Obrazy złożone, jak stos ofiarny.

— Tak będzie najlepiej! — myśli Anka.

Kładzie szybko kapelusz i zwraca się do pokojowej.

— Pójdę za mieszkaniem! — mówi — po południu przyjadę po rzeczy!...

— Czy panienka nie wróci na obiad?

To proste zapytanie przejmuje Ankę nagłym przestrawieniem.

Przypomina sobie wczorajszy wieczór, to wrażenie przepaści, w którą zapadła i aż drżenie przebiega jej ciałem.

— Nie!.. nie!.. — mówi trwożnie, wybiegając z pokoju.

Na dole spotyka Stalewskiego.

Skinęła głową i biegnie do furtki.

Lecz on podąża za nią szybko i zatrzymuje ją przy kracie.

— Dokąd pani idzie? — pyta zmienionym głosem.

— Ja?

— Ja pani powiem. Pani chce się od nas wyprowadzić? Co?...

— Tak!...

Za rękę ją pochwycił.

— Niech pani tego nie robi! niech pani tego nie robi!

Poddał pod jej spojrzenie swoją twarz, na której noc bezsenność (jeszcze jedna w szeregu) położyła swą szarą, postarzałą pieczęć...

— Niech pani tego nie robi!

— Muszę!...

I nagle z ust jego wybiegło zdanie fatalne, biedne, nieszczęśliwe...

— Ona panią przeprosi!...

Jakież to było marne, jakie smutne, jakie płaskie! Rozdzwoniło się, jakoby powiedzenie szewca, interweniującego pomiędzy swą żoną i kochanką.

A przecież ono musiało być wypowiedziane, mimo protestu, jaki się rozkrzyczał w chwili rzucaenia tych słów w przestworze.

Subtelność duszy Anki wyczuła całą nędzę tego „przeproszenia”. Inaczej ludzie nie umieli pomiędzy sobą załatwiać buntów i protestów, jakimi nagle się roztrzęcili na życiowej ścieżce. I Anka w tej chwili współczuła ogromnie nędzy Jana, który musiał zwrócić się do tego „załatwienia”, aby wymóżyć na niej pozostanie pod tym dachem, którego, bądź co bądź, żał jej było opuszczać.

Więc z całą łagodnością ogarnęła go smutnem spojrzeniem swych oczu przejasnych.

— Ja tu nie mogę zostać! — powtórzyła z wielką melancholią.

Do nóg jej przytuliły się grzędy narcyzów i błękitnych niezabudek. I na te kwiaty spozjrzała łagodnie z miłością pożegnania.

— Ja tu nie mogę pozostać!...

Za furtkę ujęła ręką, którą wysunęła z dłoni Jana.

— Cóż się ze mną stanie? — posłyszala ciche pytanie.

A w tem pytaniu mieściły się całe zbudzone światy.

Nie odpowiedziała nic. Otworzyła furtkę i wyszła na drogę. Lecz w duszy uniosła te światy i roz-

jaśniać się w niej zaczęła przyczyna niepokoju, która nią szarpała.

W willi tymczasem ku drzwiom pracowni skradła się Stalewska. Odziana w kaftanik biały i narzucony pled, szła cicho, jak kot. Zwolna nacisnęła klamkę, drzwi ustąpiły. Widziała przez okno Jana, rozmawiającego z Anką. Ona do pracowni szła. Chciała zobaczyć, co się dzieje z nowym obrazem męża.

Bo ona знаła Dzieło, widziała je raz szybko, gdy, wspiąwszy się przez balustradę, zajrzała do wnętrza pracowni. Było wtedy zaledwie podmalowane, ale ta linia kobieca tak silnie i potężnie, a mimo to w pełni sentymentu łącząca się z równią przesmutną, utkwiała jej w pamięci. Nie zrozumiała, o co chodziło. Nie czuła zupełnie właśnie owej poezyi linii i całej potęgi cudownej ścisłości, w jakiej Dzieło zostało stworzone. Ona widziała ogromne płótno i przypuszczała, że z tego może coś być.

— Tylko czemu takie czarne, takie szare!... Jak karawan! Tego nikt nie kupi. Niechby ta kobieta miała choć maki we włosach i rosły zboża... Rozjaśni to znakomicie — muszę mu poradzić.

Lecz do porady nie przyszło. Stalewski zamykał pracownię, unikał rozmowy. Stalewska, rada z wyjazdu Anki, postanowiła ową „poradę” odłożyć na czas swego własnego powrotu ze wsi od matki.

— Zapytam go wtedy, kto mu pozował — myślała, kręcąc głową — prawdopodobnie jednak miał fotografię jaką, albo dawne studyum i zużył. Choć

to dziwne, że draperyi nie było na podyum, nawet na manekinie... Chyba, że codzien nanowo drapował.

Tak przywykła do twórczości męża „z natury“, iż snuła rozmaite kombinacje techniczne według dawnego szablonu.

Pokojowa doniosła jej, że Anka kazała pakować rzeczy.

Szczere uczucie radości przejęło Stalewską.

— No... dzięki Bogu! — pomyślała — wszystko jeszcze nie stracone. Niech ta waryatka tylko zład się wyniesie, a ja odzyskam nad Janem moją dawną władzę. Z tego wielkiego plótniska zrobi się jeszcze coś możliwego i wpakuje na zakupno do rozlosowania. Już moja w tem głowa. A powoli Jan powróci do dawnego trybu życia. Chodzi teraz o to, aby nie zmarnować tego, co przez te parę dni, porwany jakimś bezrozumnym szaleńcem, w samotności klecił.

Jak kot skrada się Stalewska ku pracowni.

I gdy przekonała się, że drzwi niezamknięte, doznała uczucia tryumfu.

— No... dzięki Bogu! zobaczą i ocaleją!

Wchodzi, lecz zdumiona zatrzymuje się na środku pracowni.

Z wielkiego „plótniska“ ani śladu.

Tylko stalugi ogromne stoją, wyciągnięte na środek. Tu i owdzie walają się nieoczyszczone palety. W misce mokną pędzle. Cała pracownia pełna pyłu, prochu, meble porozstawiane, zwiędłe bukiety powypadały z wazonów.

— Co on z tem zrobił? co on z tem zrobił? — myśli, łamiąc ręce, Stalewska.

I nagle wypada z pracowni.

W sieni spotyka się z mężem.

— Byłam w pracowni...—mówi urywanym głosem — sądziłam, że zastanę tam arcydzieło. A tu pustka!... Więc nic nie robiłeś przez te dni, które tutaj spędzałeś zamknięty?...
Stalewski nic nie odpowiada.

Na kółkach wieszadeł szuka swego kapelusza. Widocznie chce wyjść z domu. To przyprowadza Stalewską do ostatniej rozpaczki.

— Więc nic nie masz na sprzedaż? — pyta, zastępując mu z determinacją drogę.

— Nie mam!—odpowiada cicho Stalewski, który, znalazłszy kapelusza, szuka teraz wyjścia.

— A...

Stalewska chce zapytać o to duże płótno, szare i smutne, ujrzone przez okno, lecz wstydzi się przyznać, iż usunięta z pracowni, podglądała, jak służąca, przez okno.

— No... więc cóż będzie?

Stalewski unika spojrzenia w jej twarz natrętą.

— Z czem?

— Z ratą za wille!

— Nie zapłacimy.

Płomienie biją na twarz kobiety.

— Jak? co?... może jeszcze mamy stracić to, co włożyliśmy?

— Może.

— Człowieku, zastanów się!... Ciebie coś opętało! A dzieci nasze? Chcesz z nich porobić żebraków?

— Pójdą o własnych siłach...

— Nie! nie!... tego już nadto!...

Chciała złością zionąć w stronę Anki, chciała zawołać, iż zakazuje tej dziewczynie pokazywać się tutaj więcej, skoro wpływ jej, który przeczuwa, wnosi taką destrukcyę w tak pracowicie zlepioną przez

nią sytuację. Lecz jakiś instynkt ostrzega ją, iż nie należy już poruszać wprost tej kwestyi, która może się stać rzeczą, decydującą w rzeczach głównych. W mgnieniu oka postanawia sama tę sprawę rozwiązać.

— Powiem jej, żeby się trzymała zdaleka od niego, zagrozę — myśli, cofając się z miną zdetronizowanej królowej do swoich pokoi.

Zamykają się pomiędzy nimi drzwi tak, jak wczoraj wieczorem i każde z nich już z uczuciem ulgi myśli, że pozostało samo!

Okolo gmachu wystawy przesuwa się Anka zamysłona, smutna. Nie obliczała drogi. Szła do Zakładu, do ojca i natknęła się nagle na rozwichrzoną gromadkę „młodych“, strzegących obecnie gmachu, w którym za godzin kilkanaście nastąpi otwarcie Wystawy ich dzieł.

— Zagrodzka!... jak się macie?...

Z fantazją opadają ją „szalone Julki“ z „Sieci“ Kisielewskiego. W pelerynach, beretach, są komiczne i rozgorączkowane.

Jedna z nich, której brawura polega na używaniu sprośnych wyrazów i nazywaniu rzeczy po nazwisku, uderza Ankę po ramieniu:

— Servus Madonna! Ależ byczą macie wystawę! niech was pies całuje. Wszystko g...uziki przy was.

Anka płonie cała. Przyjmuje podane dłonie. Chce jednak uciec jaknajprędzej.

— Tak? Cieszę się, że wam się podoba

— Chodźcież do sal. Zobaczycie! Dali wam honorowe miejsce. Środek waterklozetu!.. Po Malczewskim. Jak Boga kocham.

— Tem lepiej.

— No; chodźcie!

— Nie mogę, śpieszę się.

— G...uzik! Popijemy trochę później...

— Nie! nie! idę do ojca... do chorego ojca.

— Stary poczeka, a wy przecie musicie zobaczyć swoje Dzieło... Jazda, bo porwiemy za giczały i jazda na salę.

Anka energicznie oswobadza się od „Julek“. Zanim przyzwały na pomoc kolegów, już jest daleko. Dziwne przejmują ją uczucie na myśl, że ma stanąć przed Dziełem Stalewskiego. Nie dla tego, iż w tej chwili pozornie stroi się w cudze pióra, lecz dlatego, że...

I tu się urywa możność jej wycucia, o co właściwie jej chodzi, co paraliżuje poprostu jej wolę w tym kierunku. Czy lęka się, że ta cała jej siła zużyta celem zbudzenia głębin duszy Jana, nie była dostateczna i czy teraz ona, Anka, nie będzie odpowiadała za ten brak, za to niedociągnięcie duchowe, które się ujawni w dziele artysty?

Ludzie już mówią o niem, że jest „bycze“, ale to niczego nie dowodzi. Ona sama musi temu dziełu spojrzeć w oczy i pozostać z niem sam na sam. Czemu drgnie jej dusza? Czemu?

Z tem usposobieniem wchodzi na próg Zakładu. Machinalnie omija pokój odzwiernego, kieruje się na kurytarz, na który wychodzą drzwi od pokoju jej ojca.

Niema nikogo. Cisza zupełna. Wielka, bezbrzeżna cisza. Słychać świergot wróbli w ogródku zakładowym. Anka dochodzi do drzwi pokoju ojca.

Puka—z wewnątrz dolatuje ją cichy jęk.

Otwiera drzwi i wchodzi.

Przez zapuszczoną storę płyną cienkie strugi słoneczne na ziemię, na sprzęty rzadkie i pod ścianę przysunięte. Zagrodzki leży w łóżku pod kołdrą. Jest błądy jak kreda, a na tej bladeści jakaś ziemiasta szarość nadaje mu tę cechę ludzi „ziemią przyspanych“. Usta ma jednak spalone gorączką, oczy błyszczące patrzą na wchodzącą Ankę.

Dziewczyna zatrzymuje się przy drzwiach. Nie wie, czy może się zbliżyć. Chory może dostać napadu szału. Może rzucić się na nią, zadusić.

— Wo...dy!... — jęczy Zagrodzki.

Anka instynktownie szuka wzrokiem szklanki. Znajduje blaszany garnuszek wysoko, na piecu. Po krześle zdejmuje... Wody nigdzie niema, ale na kurytarzu są krany. Anka wybiega, napelnia garnuszek, wracając pociska guzik dzwonka i zbliża się do ojca:

— Wo...dy!...

Anka delikatnie podnosi biedną, wymęczoną głowę i podaje choremu wodę. Zagrodzki przelyka z trudnością kilka kropel i opada na poduszki. Anka zapomina o niebezpieczeństwie, o napadach szału, widzi tylko nędzę i ból. Chce poprawić ojca, podsunąć go wyżej. Lecz zaledwie go dotknęła, chory z jękiem nieludzkiem drzeć cały zaczyna. Na ustach jego pojawia się krwawa plama.

Anka, przerażona cofa się i blade, jak chusta.

— Co ci jest, ojcze? — pyta zmartwiałym z przestrochu głosem.

On nie odpowiada, tylko drży i jęczy cicho, jak małe dziecko chore, które skarży się jeno takim jękiem przestraszonym.

Drzwi otwierają się, pokazuje się w nich głowa posługacza.

— Pani dzwoniła?... a czego?...

— Pan chory. Proszę zawołać doktora.

— Pan doktor był rano. Jak będzie czas na lekarstwo, to ja podam.

— Pan krwią pluje.

— Musiał se język przykąsić. Oni to potrafią. Zbliża się wolno i ciężko w stronę łóżka.

Chory umilkł zupełnie.

Nic jednak nie zdoła opisać wyrazu przestrochu, jakim przyoblekła się jego twarz zboląła.

— Niech pani odejdzie, bo może pani zrobić coś złego!... — upomina ją grubijańsko posługacz.

Porywa ze stołu serwetkę i zabiera się do otarcia śliny krwawej z ust Zagrodzkiego.

Ankę przeraża myśl, że ta ręka straszna, brutalna, płatna, ma zbliżyć się do jej ojca w takiej ciężkiej chwili.

— Ja to zrobię! — mówi, uprzedzając ruch posługacza i lekko, delikatnie przesuwając swą chustkę po ustach szaleńca.

— Idźcie po doktora!... — rozkazuje stanowczo.

W tej bowiem chwili powzięła zamiar nieoddalania się od ojca i pielęgnowania go, choćby narażając się na najgorsze niebezpieczeństwo.

Posługacz wychodzi, zamykając drzwi z loskotem.

Anka pochyla się ku ojcu.

— Czy poznajesz mnie, ojcze?

Dwie szklane taffe oczu ma przed sobą. Poza niemi pustka. Dom myśli opuszczony. Może tam w głębi coś pracuje.

— Czy poznajesz mnie, ojcze?...

Nagle jedna ręka chorego dźwiga się i oto zaczyna drząc, zakreślać powoli jeden gest.

I był to ów jeden gest, przesmutny, szary gest, gdy wstawał smutny świt ponad tragiczny siew...

Anka cofnęła się, jakby ugodzona w serce

Poznała swój gest siewcy, rozrzucającego w próżnię ziarna życia.

— Przystań, ojcze! męczysz się... przestań!

Lecz on wciąż tą ręką wyschłą, drżącą, brudną i biedną zakreśla półkole marnotrawcy, który rozrzuca swą własną duszę na ugór próżności i ulud. Męczy się, krople potu mu występują na czoło. Męczy siebie i córkę, która stoi przed nim pobladała i przejęta chłodem.

W oddali ktoś się zaśmiał, ale cicho, lekliwie. Poszedł ten śmiech wzdłuż ścian kurytarza, zastukał lekko po drzwiach cel i rozplynał się w oddali.

A był to nie śmiech ludzki, lecz jakby struny się rwały na przedziwnej wioli, którą duchy z loskotem rzucały w przestrzeń, niby to bezużyteczną im zabawkę.

Rwały się struny i lekliwie zajęły, niby radośnie, że tracą mus oddźwięku, a ile w radości tej było żalu, na to nie starczy w ludzkiej mowie słów, jeno starczy w ludzkiej duszy takich samych pękających strun...

Drzwi otworzyły się z wolna, jakby niechętnie.

Wsunął się doktor.

Dziś nie miał widocznie ochoty do wyrzucania z siebie przekonań o konieczności dojrzałości politycznej. Wszedł z brwiami zmarszczonemi, udając wielkie zaferowanie.

— Właśnie miałem pisać do pani — wyrzekł, podając Ance rękę — ojciec pani coś nam słabuje.

— Ojciec jest bardzo chory. Oto krew, która mu z ust płynie.

Twarz lekarza pociemniała, gdy spojrzał na chustkę Anki, poznaczoną krwawymi plamami.

— Tak... tak... — wyrzekł szybko — ojciec pani uległ wczoraj przykremu wypadkowi. Po odejściu

pani dostał ataku bardzo silnego, upadł... i o kant stołu... złamał sobie żebro...

Twarz Anki zmieniła się tak bardzo, że lekarz nie mógł znieść wyrazu, który się na tej twarzy odmalował.

— Wszak prawda?... tak było? — zapytał, zwracając się do posługacza...

Ten człowiek wsunął się za lekarzem i teraz stał przywarty do szarego tła ściany, rosły, silny, straszny, jakby zdeterminowany na najgorsze, co człowiek w bezprawiu popelnić jest w stanie.

— Tak było, proszę pana dyrektora... o! tu pan Zagrodzki upadł, o ten kant złamał sobie jedno ziobro, my go chcieli podnieść, on znów się cisnął o stółek i złamał drugie ziobro...

— Widzi pani, tak było...

Nie patrzą na siebie lekarz i posługacz mówią, błędząc oczyma po ścianach, jakby lękali się spotkać oczami w pół drogi.

Lecz Anka wyczuwa kłamstwo, wyczuwa, że ci ludzie pokrywają się wzajemnie, że jeden z nich uczynił krzywdę, a drugi, dla własnego interesu, kryje tę krzywdę, klamiąc strwożony i niepewny.

Wzrok Anki od tych ludzi zwraca się ku ojcu. Obejmuje tego wpół trupa, tak srodze zdręczonego losem mu przeznaczonym. Jego milczenie, jego wzrok szklany ma w sobie tragiczność tak ogromną, że ludzkie serce pomieścić jej nie może.

Lekarz czuje, co się w myśli Anki przewija. Podejrzanie i przecucie zbrodni. Chce uspokoić ją, uspic niejako.

— Rano było konsylium... Wezwałem kilku kolegów. Badaliśmy go sumiennie. Na razie niema niebezpieczeństwa. Komplikacje jednak nie są wykluczone... Zapalenie płuc... Ale proszę! niech pani będzie spokojna, my czuwamy. Moi ludzie do-

skonale obchodzą się z chorymi, jak z własnymi dziećmi. Ja za nich odpowiadam.

Nabierał powoli pewności siebie. Lęk widoczny Anki przed sformulowaniem zarzutu strasznego, przejmującego grozą, dodawał mu odwagi.

— A zresztą... jeśli pani nie ma do nas zaufania, to może pani ojca zabierze. Ja się temu nie sprzeciwiam, choć uprzedzić muszę, iż w obecnym stanie poruszenie i przenoszenie chorego jęst zabójcze... Lepiej więc, że pozostanie tutaj... pod naszą opieką...

Widoczne było, iż sam nie wie, co począć z chorym. Lęka się wydać go z Zakładu, gdyż skostatowanoby fakt złamania żeber i staranoby się doćiec przyczyny, lęka się także śmierci pacyenta w Zakładzie wskutek owego złamania. W równej bezradności stoi i Anka. Niepewność co do przyczyn katastrofy z jednej strony skłania ją do wydarcia ojca z tej mordowni, myśl zaś, że przenosząc go, zabić go może, przejmuje ją dreszczem.

Opuściła ręce i z oczu jej płyną dwie strugi łez. Szare światło dnia srebrzy te lzy, które gorące na suknię cieką i palą, jak krew, z pod serca dobytą.

— Raz jeszcze proszę nie obawiać się. My czynimy wszystko dla dobra naszych pacjentów... my...

A Anka przez owe strugi łez spogląda w źrenice lekarza.

Jest to jedna tylko chwila, jedna z takich chwil, w których przegląda się całą tajemnicę duszy człowieka.

Słowa mrą na ustach doktora, czuje, że jest bez tajemnicy na chwilę jedną, że ta płacząca kobieta widzi go takim, jakim jest w rzeczywistości.

— Pan jedno pozwoli—mówi Anka—ja tu zostanę przy ojcu...

— We dnie tak, lecz w nocy to niemożliwe. Gdy nadejdzie chwila stanowcza, wtedy zrobię wyjątek.

— Chwila stanowcza?

— No... powinna być pani na wszystko przygotowana. Ja nie wiem nic. Ale... mogą zajść komplikacje...

— Ciszey, na miłość Boga! On słyszy!

Lekarz ramionami wzruszył.

— Słyszy... ale nie pojmuje. Niech pani spojrzy!... Ciągłe jeden gest...

— Tak... i to właśnie... Ja sędzę... ja wiem, on wykonywa go z całą świadomością, on czuje.

— Co znowu, ręką poprostu kreśli półkola... rzuca coś w przestrzeń... sieje...

— Tak... tak... rzuca coś, sieje. Niech pan mi wierzy... to z głębi z duszy, z jej głębi ten gest, ta myśl...

Lekarz kurtuazyjnie przyświadczył.

— Może... w szaleństwie właśnie ujawnia się to, co w głębi duszy drzemało.

Z niewysłowionym bólem Anka spojrzała na ojca.

— I to najstraszniejsze, że... że...

Potarła ręką czoło. Lekarz przez grzeczność badał.

— Że co?

— Że to ja wywołałam tę głęb... ja... sama wskazałam mu tym gestem nicość jego życia... ja...

Lekarz przyglądał się jej uważnie.

— Pani jest strasznie zdenerwowana. Należy się uspokoić, trochę bromu.

— Nic, nic, ja tu zostanę do wieczora, potem przyjdę raniutko. I proszę o jedno.

Zawahała się.

Wzrok jej z trwogą pobiegł w kierunku, gdzie stał posługacz.

— Proszę o innego dozorcę do pielęgnowania.

— Owszem... owszem...—zgodził się pośpiesznie lekarz. — Marcin i tak miał odjechać dziś na wieś na czas jakiś. Dam pani innego posługacza, doskonałego człowieka, który obchodzi się z chorymi, jak z własnymi dziećmi.

Marcin spojrział raz jeszcze w stronę Anki i czarne jego oczy zamigotały dziwnie z pod brwi ściągniętych.

Stał chwileczkę, jakby się wahał, nie wiedząc, co począć z sobą, wreszcie wysunął się za drzwi.

I pozostało po nim, tylko wrażenie, iż przeszła tędy straszna zbrodnia, że przeznaczenie położyło tu swą pieczęć krwawą ręką tego człowieka, ręką, wiecznie wygiętą, jakby gotową do podnoszenia wielkich ciężarów i ciskania ich o ziemię.

XXXIV.

Od obiadu powstali oboje, nie jedząc nic, zacięci w fatalnem, upartem milczeniu.

A przecież jakaś nitka kompromisu wila się pomiędzy nimi — kompromisu, w którym oboje mogli zatracić godność własną dla pewnych koniecznych im celów.

Stalewska, namysliwszy się, postanowiła zmienić system postępowania. Przyjęła to jako fakt, że

mąż jej „wziął na kiel“ i na jakiś czas „sfiksował na punkcie artyzmu“. Zastanowiwszy się głębiej, przysła do przekonania, że jest to faza przejściowa, która musi minąć i że trzeba to wszystko rozumnie i umiejętnie przeczekać.

Skoro się tylko dobrze i z dobrego punktu zabierze do rzeczy, wszystko powróci do dawnego stanu.

— Trzeba jednak, ażeby odzyskała nad nim mój wpływ—myślała, siedząc przed toaletką—wpływ moralny i fizyczny, inaczej nie dojdę do niczego.

Ta kobieta umiała z nadzwyczajną zręcznością zawracać z miejsca bez użycia bata. I teraz nakreśliła plan postępowania, który mógł ją doprowadzić do celu.

Przedewszystkiem postanowiła pozbyć się Anki i wiadomość, że Anka pakuje rzeczy, napelniła ją radością. Należało jednak pozbyć się Anki „dobrze“ i grzecznie. Nie wiadomo, na co się jeszcze Anka w życiu przydać mogła, a potem Stalewska czuła, iż wypędzając Ankę niejako z domu, traci moralnie w oczach męża i pozwala Ance zająć wyższe stanowisko.

— Wykażę mu powoli nicość jej wpływu. Przecież podczas owego flirtu z tą głupią dziewczyną nie namalował nic porządnego. Gdyby rzeczywiście sama była genialną, natchnęłaby go czemś, mogącem zaimponować ludziom. Przy mnie to, co tworzył, miało uznanie i zrobiło go sławnym, a więc...

Z największą starannością ubrała się, uczesała, upudrowała.

— Przez ażurowe koronki do duszy — myślała, śmiejąc się do swej postaci, odbitej w lustrze, która nadzwyczaj lubieżnie zaróżowiła paskami ciała białe muślin delikatnej, wykoronkowanej sukni.

Obiad przeszedł w milczeniu. Puste miejsce

Anki widocznie smutno oddziaływało na Stalewskiego. Na stole pojawiły się kwiaty. Śliczny mak różowy, pełny, świeżo zerwany, w obramieniu kłosów. Stalewski patrzył na nie, na puste krzesło i chmura smutku powlekała mu rysy.

Raz jeden tylko zdziwiony spojrzął na żonę, gdy ta zapytała pokojówki:

— Czy panienka na obiad nie przyjdzie?

— Nic nie mówiła! — brzmiała odpowiedź.

— Schowajcie obiad dla panienki i niech będzie ciepły, gdy panienka wróci.

W myśli brzmiało tam: panienka nic tu jeść nie będzie... i pójdzie ztąd przez sama... już w tem jestem... ja!..

Gdy powstano od stołu, Stalewska zwraca się ku mężowi:

— Może kawę wypijemy w ogródku?

Mówi tak, jak matka, która wygniewawszy się na syna za jakieś złe postąpienie, uprzejmie go do łaski przywraca. Umiejętnie przygotowała sobie grunt zatroszczeniem się o „panienkę“. Jest doskonałą znawczynią mężczyzn. Wie, że on pochwyli skwapliwie tę sposobność, aby jej dobre usposobienie dla „panienki“ nadal utrzymać.

— Dobrze! — odpowiada istotnie Stalewski i kieruje się do ogródka.

Za chwilę siedzą w altance. Ona ładnymi gestami ślicznie wytresowanej gospodyni domu nalewa kawę do maluchnych, ślicznych filiżanek z „krajowego fajansu“. On zapalił cygaro i patrzy na delikatne kielichy powojów, które się zamykają kolejno senne i wyczerpane.

— Zapomniałam ci powiedzieć — mówi Stalewska — że dzieci każały ci ucałować i upieścić. Zostawiłam je zdrowe, wesole i uradowane z pobytu na prawdziwej wsi. Luluś obiecał napisać w imieniu

całej gromadki. Będą ładne kulfoniki, ale niezadługo Luluś lepiej będzie pisał od nas obojga!..

Umyślnie rzuca imię najstarszego chłopaczka, którego Stalewski kocha najwięcej. Przytem, mówiąc o dzieciach, Stalewska dokumentuje bardzo umiejętnie silny i nierozzerwalny węzeł, jaki ich dwoje łączyć powinien.

— Luluś — ciągnie dalej — objawił nagle na wsi nadzwyczajną zdolność do rysunków. Węgłem na ścianie w piekarni narysował nader udatnie krowę i pewne nierogate zwierzę. Nie mogłam wyjść z podziwu... Coś nadzwyczajnego!

Kłamie i czuje, że Stalewski nie wierzy temu kłamstwu. Zaczyna więc z innej nuty.

— A ja... muszę cię przeprosić! — mówi, składając ręce i przybierając wyraz, z jakim pozowała mu do szeregu świętych panien i męczennic. — Przeprosić za... moje zdenerwowanie... Tak! tak!... rozumiem wybornie, iż każdy artysta musi mieć chwilę wyczerpania, znużenia i że wtedy musi odpcząć!

Stalewski spojrzął na nią wyniośle.

— Mylisz się... nie jestem wyczerpany. Przejmnie.

— Tak!.. tak!.. — pośpieszyła Stalewska — może źle się wyraziłam. Słowem, potrzebujesz, aby cię pozostawić w bezczynności dlatego, abyś nabrał silniejszego oddechu, ażebyś mógł z tem większą mocą pracować.

— Złe mówisz... pracować... Naucz się raz nie traktować mnie jak rzemieślnika.

— Więc jakże mam mówić? Tworzyć? malować? komponować?... Sama nie wiem.

Oczy jej migotały.

Zapanowała jednak nad sobą.

— Powiedz... — wyrzekła z przymileniem — czy źle wyczuwam stan twej duszy?

Nie odpowiedział jej nic, tak szarpnęło nim to zapytanie sztuczne, wymuszone, wymęczone niemile.

— Bo wierz mi, Janie!... — brzmiał znów głos grzechotki — nikt cię tak nie zna i nie odczuwa, jak ja! Prawda? Powiedz sam. Powiedz!... Tyle arcydział przeżyliśmy razem. Wszystkie one są mi drogie... i musisz przyznać, że coś tam w nich jest ze mnie... No... no... przyznaj!

Położyła mu rękę na ramieniu i dyszała cała blisko masą różowego ciała, błękitem oczu, złotem ślicznie ufryzowanych włosów.

— I stworzymy jeszcze niejedno!... — ciągnie dalej uspokajająco. — Twoje rozdrażnienie przeminie... Ja już urządzę tak, że obstalunki, które mogłeś mieć obecnie, nie miną cię. Uproszę, a ludzie poczekają. Kto wie, może nawet dadzą zadatki, w ten sposób wyplączemy się z kłopotu.

Porwał się z miejsca i zaczął krążyć po altanie.

To słowo „zadatek“ podziało na niego, jak uderzenie szpicruty. Ta kobieta chciała go poprostu zaprzedać znów w niewolę straszną i upokarzającą.

— Nie pozwalam ci brać zadatków! — zawołał wreszcie, stając przed nią.

— Dlaczego? Wszak brałam nieraz...

— Tak! ale teraz to, co zrobię, mogłoby się nie podobać...

Jej oczy zamigotały, jak u wilczyicy.

— Och! — roześmiała się sztucznie — jaki ty jesteś zniechęcony. Wątpisz w siebie?

— Właśnie, że zaczynam ufać.

— A mówisz, że mogą nie przyjąć twojej roboty, że może się nie podobać?

Chciał jej wytłómaczyć, chciał jej wyjaśnić, że właśnie dlatego, iż dzieło jego może nie znaleźć uznania ogółu, może on, twórca, odzyskać wiarę, iż może stworzyć prawdziwe Piękno, lecz gdy spojrzał

w bezdenną a przewrotną i sprytną głupotę jej błękitnych oczów, uczuł, że powinien milczeć.

Bo słowa jego odbiłyby się jak powiew wiosennego wiatru, pełnego woni ciepłych pól i łąk, o ścianę nagiej skały, sterczącej jednak, czy w zimowe chłody, czy wtedy, gdy na zagonach szmaragd trawy czarująco jaśnieć zaczyna...

Ku drodze wzrok posłał, zkąd spodziewał się nadejścia Anki.

Wymadlał ją ku sobie z oddali i myślą odtwarzał smukłość przesliczną jej sylwetki, chód jej hieratyczny, sposób noszenia drobnej, małej główki. W tej chwili tęsknił za nią samą, za Anką, nie za jej słowem, nie za jej wpływem...

Ciało o różowym połysku, przeświecające przez koronki, przestawało mieć swą dawną moc magiczną. Rozsnuwał się inny czar...

Stalewski wciąż na drogę patrzył.

Stalewska odczuła ten wzrok. Kobieta odtrącana zaczęła w niej grać obrażoną dumą. Ogarnęła jednak rozpaczem spojrzeniem tę śliczną wilgę, wdzięczącą się przechodniom, ogród — tę dumę i możliwość imponowania innym — całe swe „stanowisko“ dotychczasowe i oceniła, że warto poświęcić niejedno. Rozmyślała, jak rozpocząć rozmowę, gdy wtem przed furką zjawił się chłopiec, roznoszący dzienniki. Pomiędzy sztachety wsunął jeden z numerów dziennika, który miał pod pachą i pobiegł dalej.

Stalewski podszedł i dziennik wziął w rękę. Widoczne było, iż czytając go, chce zabić czas, lub odgrodzić się od żony. Nagle twarz jego zmieniła się. Szczególny wyraz zmieszania i radości rozjaśnił jego piękne rysy. Wpatrywał się uparcie w krótką notatkę, zajmującą niewiele miejsca w kronice miejscowej. Stalewska, uważnie śledząca męża, pod-

chwyciła tę zmianę jego twarzy. Powstała, zbliżyła się ku niemu i przez jego ramię czytać zaczęła:

— Wystawa młodych wre od przygotowań. Jutro ma nastąpić uroczyste otwarcie. Byliśmy w możności przebież sale, w których młodzi artyści rozlokowują swe dzieła. Pomiędzy wielu śmiesznymi i pretensjonalnymi płodami, z których niejedne potrącają o demencyę, jest parę nadwyzczaj śmiałych, silnych i wspaniałych dzieł. Nie będziemy niedyskretni, gdy powiemy, że króluje potęgą wielkiej młodości i tym porywem skrzydeł słonecznych dzieło panny Zagrodzkiej. To maj, to wiosna, to siła niemal zwiolowa i tylko na taki rozmach mogła zdobyć się nieopatrna młodość, sądząca, iż się nigdy nie wyczerpie... Podziwiać należy i głębi dzieła, które...

Stalewska usta aż do krwi przygryzła.

— Napisała sobie sama reklamę — szepnęła wreszcie — uprzędza publiczność jeszcze przed otwarciem wystawy. Szkaradna reklamiarzka!

Umilkła i chciała powrócić na dawne miejsce, lecz oto, spojrzawszy na męża, dostrzegła, iż oczy jego przysłoniła jakby mgła wilgotna.

— Mogła dodać, że jest twoją uczennicą... — szepnęła, jakby zbита z tropu, bo czuła, że dzieje się tu jakaś rzecz niezwykajna, piękna ponad wszystko, że Jan w tej chwili czuje coś więcej nad zwykłe zadowolenie nauczyciela, którego uczeń tryumf odnosi.

I to stało się dla niej niezrozumiałe, dręczące i przykre, bo nie wiedziała, nie rozumiała przyczyny. Wstała i cicho odeszła w głąb willi, pozostawiając męża, wpatrzonego przez łzy w kronikarską wzmiankę.

wiając męża, wpatrzonego przez łzy w kronikarską wzmiankę.

— Dzieje się coś! — myślała — czyżby pomiędzy nimi zaszły rzeczy tak daleko...

Nadszedł wieczór.

Anka nie powracała.

Stalewski siedział ciągle w altanie, wpatrzony w drogę, która z jasno blond powoli zmieniała się w szarą, coraz ciemniejszą wstęgę. Ta marna wzmianka, napisana stylem reporterskim, byłaby sprawiła mu szaloną radość, przyznając mu siłę, moc, twórczość młodzieńczą, gdyby stało się to w innych okolicznościach. To, do czego dążył, co niedawno żarło go i gryzło niepewnością, a teraz nagle wykwitło przed nim kwiatem szczęścia, mogło dać mu pełną radość już tylko w połączeniu z obecnością Anki, obecnością nie tylko duchową, ale i fizyczną, która dla niego stawała się treścią jego życia.

Tęsknota, niepokój, mąciły mu blask niespodziewanej radości.

Jej nie było!...

Stał u celu, przekonał się, że jest w nim siła twórczości niezależnej, głębszej, która ma w sobie nawet nieopatrność młodości. Życie jego sponiewierane, życie niewolnika, wprzęgniętego w chomonto pajaca „uznanego“ artysty, stawało nagle nie u progu świątyni, lecz w samym jej wnętrzu, u białych ołtarzy, a przecież...

Jej nie było!

Szła noc, szła wielka, ciemna, lekka i ciepła, jedna z tych nocy, które prześnił na jawie o niej, wiedząc, że tam, niedaleko, jest ta, która mu istnienie miłosiernie wyciągniętą dłonią lepszym i przyjaźniejszym czyni.

Szła noc, jedna z tych, które złączyły ich oczy i tajnie ich dusz brylantami tkaną nicią wielkich, przeczystych milczeń.

Szła noc ciemna, a która jasną jest od prawd i piękna, rozsnutego z dusz ludzkich w cieniu, wydających, jak kwiaty najpiękniejsze, swą treść chmurą woni, ku gwiazdom na szafirze rozpiętym.

I ogarnął go nagle smutek przeogromny, taki smutek, który dławi zwycięzców, gdy staną u szczytu i spojrzą dokoła siebie, a poznają, że są sami.

Bo jej nie było.

Nad ranem Stalewska, która przeleżała całą noc bezsennie, dojrzała, iż Jan porwał się wcześniej z łóżka i odziewa się z pośpiechem.

Nie zapytała go, gdzie idzie, usiadła na łóżku i zadzwoniła na pokojową.

Wydała rozkaz przyspieszenia śniadania i sama wstawać zaczęła.

— Słuchaj! — wyrzekła uprzejmym tonem do Jana — nie wiem, jak postąpić z panną Zagrodzką. Chciałam, żeby u nas nadal pozostała. Jednak...

Odwrócił się ku niej pytająco.

— Jednak po tem, co się stało...—ciągnęła dalej, nakładając flanelowy peniuar—nie mogę kompromitować domu jej obecnością.

— Dlaczego?...—gorączkowo zapytał.

Widoczne było, iż rozjaśnił się nadzieją utrzymania Anki pod swoim duchem.

— Dlatego...—podjęła znów Stalewska — że ta panna prowadzi się fatalnie. Nie nocowała w domu. Gdzie była?...

— Przedwczorajsze twoje zachowanie się wypędziło ją poprostu.

— O!... o!... co znowu! Miała wrócić. Mówiła do pokojówki, że wróci. To zupełnie co innego. Ona pewnie oblewała powodzenie swego obrazu z tą bandą błaznów i błaznic... Musieli się bawić do białego dnia po swojemu... Ale to w porządnym domu jest niemożliwe, i dlatego sądzę, że nie będziesz mi miał za złe, gdy, pomimo litości nad nią, będę zmuszona poprosić ją, by...

Szerokim gestem wskazała przestwór, który ukazywał się po za oknami, z których właśnie okiennice opadły.

Stalewski blady, zmieniony, szybko ku żonie postąpił.

— Sądzę, że się mylisz! — wyrzekł — Anka nie potrafi zapomnieć się do tego stopnia.

— Ach! mój drogi, wszak ta panna jest młodą, wolną, ma usposobienie cygańskie i...

— Nie, nie. Tu zaszło co innego. Ojciec jest chory...

— Nie nocowała przecież w szpitalu...

— Kto wie? Pójdę się dowiedzieć. Pójdę po nią.

Z gardła Stalewskiej chciał się dobyć krzyk: „nie idź! zakazuję ci“, lecz jeszcze nie chciała stawiać wszystkiego na jedną kartę.

— Czyni, co chcesz!—wyrzekła głucho.—Pamiętaj jednak, co jesteś winien mnie, jako żonie i matce swoich dzieci.

Spojrzał na nią przeciągle i nic nie zdoła opisać i zanalizować tego spojrzenia, które zawarło w siebie tragiczną treść jego życia.

XXXV.

Na kurytarzu szpitalnym do ściany przytulił się Jan.

Stoi i czeka na Ankę, o której wie, iż od rana jest już przy ojcu.

Od rana!

Lecz gdzie była przez całą noc! Czy Stalewska miała słusność? Czy wtedy, gdy on, strawiony żarem, czekał, aby rozległ się jej lekki chód na zwirze ogrodu, ona w taką noc ciepłą, czarowną, z bandą wyrostków trawiła czas i siły duchowe. To byłoby potworne, to byłoby straszne, a przecież kto wie, czy tak nie było! Podejrzanie gad straszny. Nie zna nawet słowa: niemożliwość. Ogarnia i umożliwia wszystko...

Ciche otwarcie drzwi i Jan widzi, jak ku niemu idzie wreszcie Anka blada, przezroczysta prawie. Idzie swym ślicznym chodem, który fale sukni jej roztacza po dywanie, wycielającym kurytarz. Zbliża się i czerń głęboką oczów utkwila w jego twarzy, a on ma ochotę ryknąć płaczem z bólu, upaść przed nią, do kolan jej się tulić, taka mu w tej chwili nadzwyczaj potrzebna i konieczna do życia. Stała już przy nim, nie mówi nic, nie pyta, tylko patrzy.

— Byłem niespokojny o panią... — słyszy Stalew-

ski swój głos i nie wie nawet, czy to właściwie on mówi, tak cały zmienił się we wzrok i nim chłonie tęsknotę swoją.

— Nic mi się nie stało — odpowiada Anka — jestem przy ojcu. Nocowałam w hotelu.

Patrzy na nią badawczo.

— Dlaczego nie wróciłaś do domu?

Ona, zdziwiona, mierzy go wejrzeniem.

— Do jakiego domu? Ja przecież nie mam domu.

— Do mego!...

— Pana dom nie jest moim domem.

Sposępniał, pot mu występować zaczął na czoło olbrzymimi kroplami.

— Tak, prawda...

Z wysiłkiem teraz mówić zaczął:

— Wszystko się układa... dawny stan rzeczy może powrócić... Nic panią więcej nie spotka... nic.. Proszę... wróć pani do nas.

Anka czuła, jakby jakiś opar niezdrowego mokradła wznosił się ku niej powoli.

— O tem nie może być teraz mowy. Ojciec chory...

— Czy w nocy czuwać masz przy ojcu?

Rzucił jej to pytanie prawie brutalnie. Ona cofać się zaczynała w głąb siebie niepewna i jakby zziębnięta.

— Nie... ale... willa wasza daleko... Muszę być na zawołanie lekarzy... ojcu może się nagle pogorszyć

— To wybieg!...

Teraz już nacierał formalnie na nią aż drżący ze wzruszenia, które nim wstrząsało.

— Wybieg!

Anka otworzyła szeroko czyste swe i precudne źrenice i wpatrzyła się w twarz mężczyzny.

— Dlaczego pan tak do mnie mówi? — spytała wreszcie niskim, zmienionym głosem.

Opamiętał się i złożył ręce jak do pacierza.

— Nie... nie... Ja już tak mówić nie będę. Tyko... Anko... posłuchaj. Nie można, nie należy zostawiać mnie teraz samego. Co pocznę, sam nie wiem. Zbłądzić mogę. Jeszcze jestem niepewny...

Anka przymknęła oczy. Ten człowiek zwracał się do niej znów po siłę, jak do życiodajnego źródła. Czy była w stanie mu teraz dodać otuchy i mocy?

— Teraz... nic dla pana uczynićbym nie mogła.

Podchwycił jej słowa.

— Teraz... a więc ja zaczekam, aż przyjdzie dobra i odpowiednia chwila. Ale twoja obecność wystarczy, twoja droga obecność... słyszysz, Anko?...

Głos jego był tak pełen czegoś niezwykłego, jak pełen ciepła jest dzień skwarny lipcowy. Gorącą falą opłynął ten głos całe ciało Anki i rozwibrował jej nerwy nieznanym jej dreszczem.

Przerażona, cofnęła się i przytuliła ręce do ust, jak dziecko, gdy widzi przed sobą otchłań zawrotną.

On wyczuł tę jej trwogę i z tą intuicją, którą posiada każdy, opanowany namiętnością człowiek, bez przewrotnej chęci uczynił na miejscu rodzaj zwrotu, dość szczęśliwie pomyślanego.

— Anko! twoja obecność duchowa, twoje czyste, dobre tchnienie, które ku mnie płynie, jak promienie słońca, i moją zbiedzoną duszę w przebożate piękno stroi... I patrz... patrz... oto twoje dzieło! Tyś przemożnym swym wpływem sprawiła, że we mnie ocknęła się druga młodość i bije dziś już niepowstrzymanym prądem w zwyż... Patrz!... czytaj!...

Febrycznie wyjął dziennik ze wzmianką o Dziele i pokazał go Ance.

— Czytaj!

Wzięła w rękę gazetę i szybko przebiegła wzrokiem. Na bladą jej twarzyczkę wypłynął czarujący uśmiech radości i tryumfu. Wyraz nieufności znikł. Wyciągnęła ręce ku Janowi i była znów tą Anką z dni walk jego i smutków, która, oparta o okno pracowni przed masą szafiru i gwiazd, w głąb jego duszy melodyą srebrną swego głosu wnikała i o zardzewiałe kraty, po za którymi uwiązał smutny duch jego, łopotem rozchwianych swych skrzydeł biła...

— Jak dobrze!... jak to dobrze!... — wymówiła wreszcie, gazetę mu oddając.

— Anko!... powrócisz?... Widzisz, co przy tobie mogę, bez ciebie zginę.

— Nie! nie! Jesteś pan już dość silny. Pójdiesz teraz sam.

— Anko! ja wiem, co mówię. Zginę!

Bał się patrzeć jej w oczy, aby nie wyczytała w jego oczach coś więcej, niż chciał, aby wiedziała.

— Zginę wtedy, gdy wreszcie ocknąłem się i znalazłem swą drogę... Anko!... Wrócisz?

Przypomniała sobie Narbutta i jego słowa, wyrzeczone tam, w redakcyi:

— A gdy wnikniesz w głąb tych dusz, co dalej z nimi zrobisz?

Milczała chwilę, wreszcie z całą prostotą zwróciła się ku Janowi.

— Wróć! — wyrzekła cicho i serdecznie.

Nie wróciła jednak, bo stan Zagrodzkiego pogarszał się ciągle. Zebra złamane wbiły się w płuca, wywołując zapalenie. Anka uprosiła lekarza, że

pozwoił jej zająć mały pokoiik przy celi odźwiernego. Tam, nie rozbierając się, na sofie trawiła długie, bezsenne godziny. Rankiem biegła do ojca. Napisała do Jana kartkę, zawiadamiając go, że nie może przyjść, gdyż stan jej ojca przechodzi okres bardzo niebezpieczny. Kilkakrotnie Jan zjawiał się w szpitalu, lecz Anka nie opuszczała pokoju ojca ani na chwilę. Zostawiał tylko duże pęki kwiecica, które Anka kazała zanosić doktorowi, pragnąc go ująć czemkolwiek. W zakładzie panowała wskutek choroby Zagrodzkiego pewna konsternacja i Anka czuła, że wszyscy zwracają się do niej, jak winowajcy do pokrzywdzonego. Opieka lekarska była do przesady staranna i nieszczęśliwy starzec konał, jak książę udzielny.

Było to powolne gaśnięcie lampy życiowej o pękniętych kryształowych ścianach. Tragiczna maska twarzy przybierała chwilami już wyraz marmurowej statuy, którą zmyły deszcze i w którą waliły pioruny, a grad siekł bez litości najmniejszej.

Szklane oczy, na wpół otwarte, wlepione w jeden punkt, zaciągały się powoli bielmem, i tylko czasem coś zamigotało, jakby utajona pod powieką Iza.

I ciągle ta ręka, z wysiłkiem siejąca fikcyjne ziarno z monotonią straszną, nieubłaganą, bezustanną.

Anka znalazła raz u odźwiernego bilet wizytowy Stalewskiej. Żona Jana z nadwyzczajną umiejętnością życiowej równowagi, zrozumiała, iż, czyniąc ten krok, zyska sobie znakomitą przewagę nad mężem. Zarzuciła więc wstawki koronkowe i powabne szlafroki, natomiast rozwinęła swe dyplomatyczne zdolności wytresowanej w szkole życia, a dziwnie przebiegłej kobiety. Złożywszy bilet, udała się prosto do jednej z redakcyj, w której pleśń roz-

taczała się nietylko na murach odwiecznego lokalu, lecz głównie i wybitnie na mózgach stałych współpracowników. W tym przybytku nieprzewietrzanym, w którym „lufcik na Europę“ był zabity gwoździem, a wszystko, co traćilo „nowością“, przyjmowane było groźnym pomrukiem kultuńców, rozlubowanych w polityce miejscowej i bombach piwa, pani Stalewska miała wielu przyjaciół i zwolenników. Z szumem i brzękiem zanurzyła się strojna dama w cuchnącą sionkę i znikła w niej na czas jakiś. Gdy wyszła, miała minę rozradowaną i tryumfującą. Umyslnie przeszła około gmachu Wystawy, gdzie rano właśnie dokonano się otwarcie Wystawy Młodych. Chwilę zawahała się. Chciała wejść, lecz na schodach dostrzegła Narbutta. Stał, patrząc w ziemię, błądy był i zmieniony. Choć nie miał miny brutalnego pogromcy, Stalewska postanowiła unikać z nim spotkania.

— Przyjdę jutro... po artykułiku, który im podawowałam swoim wpływem — pomyślała z jadowitym uśmiechem — poznają, co może żona Pajaca... zrzędną im miny!

Mimowoli obejrzała się raz jeszcze na śmieszny gmach, podobny do przygodnych pawilonów jakiejś miasteczkowej wystawy powszechnej. Uczyniła to bezwiednie i sama zirytowała się na siebie za ten brak taktu. Pocieszyła się, iż Narbutt patrzył ciągle w ziemię i nie widział jej. Doznała wrażenia, jakby przechodziła koło otwartego grobu... Zionęło mogiłą.

— Ten ma minę samobójcy! — pomyślała z niesmakiem.

Dla niej samobójstwo było szczytem zlego wychowania i braku taktu.

Po południu Zagrodzkiemu nagle zrobiło się lepiej. Lekarze wiedzieli doskonale, iż jest to zwodnicze i chwilowe polepszenie, wyzyskali je jednak na swoją korzyść, aby Ankę od łóża ojca oddalić.

— Niech pani się przejdzie... niebezpieczeństwo minęło, należy dla pani zmienić choć na chwilę tok myśli. Inaczej, wyczerpana, czuwać pani nie będzie mogła.

Anka czuje sama, iż siły ją opuszczają. Przytem jest w kłopotach finansowych. Drobiazgowość życia rzuca się na nią z zajadłością hydry i dławi ją. Musi starać się choćby o chwilową pożyczkę, zanim z majątkiem ojcowskim zrobi się jakiś ład i porządek. Na razie jest bez pieniędzy. Zbiera wszystkich zmysł, mogący ją oryentować w takiej chwili. Powtarza sobie, iż walka z przeznaczeniem jest konieczną tragicznością życia. Do walki tej staje nieuzbrojona, staje jednak pomimo wszystkiego.

Pozostawia przy ojcu dawno znaną z dobrej strony służącą, którą odnalazła w zaułkach przedszpitalnych, i sama wychodzi w ruch, gwar, wir, smutny i ciężki do zniesienia.

Idzie wśród ludzi prawie martwa, kierując się ku ulicy, przy której mieszka jeden z adwokatów, trochę jej znanych. Chce zasięgnąć rady, zanim list, wysłany do opiekuna, przyniesie jakąś odpowiedź.

Koło tramwajów, jak stado os drobnych, krążą mali kolporterzy pism codziennych. Migają płatkami szaremi w słońcu. Cienie drzew plantowych, z pod których biją silne zapachy kwiatów, przepelniających kosze klombów, dają chwilowy przytułek tej obdarłej gromadce. Gdy pojawi się nowa postać, z cieni lekkich rozbiega się nagle ćma starych motyli, o skrzydłach białych płacht, pokrytych paciorkami

kami druku. Cienkie głosiki wywołują sensacje dnia:

— Wystawa młodych!... Pornografia tryumfująca!... Bezczelne chłystki!... Naga dusza!...

O uszy Anki obito się tylko: Wystawa młodych! Kupuje jeden numer i chroni się z nim do budki tramwajowej, czekając na nadejście właściwego wozu. Blaszy domok jest pusty. Anka, sama jedna, opiera się o ścianę, bo znużenie jej jest wielkie, i teraz dopiero czuje, jak bardzo jest wyczerpaną.

Z myślą o Janie otwiera dziennik. Szuka artykułu z uczuciem dużego spokoju. Z tej strony przynajmniej już jest pewną, że zwyciężyła fatalność potęgi zewnętrznej. Cokolwiek Jan mówi, już w nim zbudzona Prawda nie zagaśnie nigdy. Znajduje sprawozdanie z Wystawy. Nie spodziewa się wyczerpującej i rozumnej oceny. Czyta jedynie dla tego, iż wie, że Jan czytać te słowa będzie, a w duszy jego nie powstała jeszcze ta wielka doskonałość, która każe mu tworzyć dzieła bez względu na to, co „ludzie powiedzą“.

— To przyjdzie! — myśli Anka — przyjść musi, i tak stał się cud! Ten cud musi powoli wypromienić z siebie wszystko najdoskonalsze i zabić choćby najdrobniejszą szpetotę poprzednią. Lecz już same tytuły sprawozdania zastanawiają Ankę.

— „Pornografia tryumfująca...“ „Bezczelne chłystki...“ „Naga dusza...“

Co to znaczy? dlaczego?...

Zapomniała, że zemsta jest słodką sensacją. Artykuł ów jest krótki, lekceważący, napisany tonem, jakby rozgniewany silnie za przerwanie mu poobiedniej drzemki nauczyciel, porwawszy dyscyplinę, siekł zacięcie na prawo i lewo! Anka nie poznaje tonu „starych“ Zawsze przybierali sposób wyraża-

nia się wyższych istot, pobłażliwie wzruszających ramionami na szaleństwa dzieci. Lecz zaczęli widocznie wychodzić z równowagi. Rzucali brzydkimi słowy, jakby garściami błota. Odrzucali właściwie i sądzili, że są w swoim prawie.

Zaczynało się robić duszno, strasznie, i Piękno otulało się w skrzydła, które wicher namiętności rozpełnionych rozwiewał i złamaniem groził.

Ankę przeszedł dreszcz.

Czyta ten stek wzgardliwych słów i prawie rozumieć nie może. Zapomniała o poprzednich wybiegach Narbuttów i innych. Widzi, że ktoś, siedząc za biurkiem, drżał z nienawiści i jadu. To, co było w duszach młodych pozbierane ze słońca, oblepiał śliną węża, gotującego się do strawienia czarująco ubarwionego płaka. Zapowiedział cały szereg takich artykułów. Ten był tylko wstępem:

— Czas już, aby nastąpiła reakcja przeciw tej zuchwałej bandzie, która włazi pokrzywionemi angielską chorobą nogami do świątyni, gdzie do tej chwili kwitła sztuka czysta, wychowana na tradycjach wielkich naszych mistrzów i w kulcie ich swojskie ciepło w łonie mająca. Garstka niedoroszków i panien na wydaniu, nie mających poczucia godności niewieściej, rozpycha łokciami szeregi artystów wielkiej miary, stanowiących czoło społeczeństwa. Dość wejść na ową Wystawę młodych, aby mieć pojęcie, do jakiej bezczelności dochodzą dzieci, puszczone samopas. Zналиśmy tych panów i te panie z ich pojedynczych dzieł, i to zналиśmy bardzo mało. Raz dlatego, że są oni wielkimi przeważnie w chwalebnej mowie, a nie w pracy — a powtóre, przyznajemy, że nie interesowaliśmy się nimi, mając coś poży-

teczniejszego dla społeczeństwa do załatwienia. Obecnie, gdy zjawili się całą bandą, należy się im odprawa. Śmieszne bazgroty, pretensjonalne mazanki bez żadnego poczucia estetycznego smaku, urągające przyjętym przez ogół zasadom piękna, pochwytnie naleciałości zgnilego zachodu, same gnijące odpadki francuskich nowatorstw, podlane sosem bezczelnej pornografii — oto wynik owego młodego, rozwrzeszczonego niemowlęctwa, rozwieszającego za sztandar podejrzanej czystości pieluszkę. Wystarczy tylko wymienić taki autoportret jednej z panien, biorących udział w Wystawie, aby zrozumieć, jak daleko zająć może aberacja tej bandy krzykaczy i samochwalców. Nikt chyba w dziedzinie sztuki, a przynajmniej żadna kobieta, nie zaszła do podobnych granic wyzucia się z własnej godności. Przysłonięcie gazą tej nagiej duszy podnosi tylko lubieżność wyuzdaną tego „dzieła sztuki“, kwalifikującego się do budy jarmarcznej, a nie do świątyni, w której przywykliśmy widzieć czyste, wielkie i piękne dzieła...

Anka złożyła dziennik i rzuciła go w kąt budki.

— Nie będę dalej czytać, jestem i tak zbolala, dlaczego dobrowolnie mam jeszcze gorzknąć i dęczyć się złością ludzką.

Przyszedł jej na myśl Jan.

On jednak musi cierpieć... musi trawić się tam, wątpić w siebie i we mnie. Kto wie, sam mówił, że słaby jest i niepewny, może żaluje...

Postanawia pójść dziś, choćby na chwilę, do willi.

— Zobaczą go, podtrzymam, podniosę na duchu — myśli. — Tak uczynić powinienam.

Wsiada w tramwaj i przejeżdżając koło Wystawy, widzi, że ze wschodów gmachu schodzi szybko Stalewska. Ubrana przesłicznie, jak pawica roztacza faldy swej sukni i kapelusz, utkany z mgieł tęczyowych, usianych bławatami. Nie ma jednak zwykłej pewności siebie. Idzie szybko, nierówno. Daje znaki przejeżdżającej dorożce. Wskakuje w nią, mówi coś.

Tramwaj przejeżdża i Anka traci żonę Jana z oczów.

.....

W gabinecie adwokata, wśród odurzającej wońi naftaliny, którą w głębi apartamentu nasycają futra pani adwokatowej, siedzi Anka przed uśmiechniętym grzecznym „mecenase“, który z całą gorliwością postanawia zająć się wydobyciem jej z kłopotów. Jakieś dziwne drgnienia przebiegają jego twarz, ozdobioną wspaniałą brodą. Patrzy na Ankę z lubością konesera. Slizga się wejrzeniem po jej postaci, rozbiera ją widocznie myślą. Wreszcie uśmiecha się i mówi:

— Byłem na Wystawie Młodych... Zachwycalem się panią...

— A... mojem Dziełem?...

— Tak!... a raczej panią. To wspaniałe. Śmiało, jak na nasz partykularz, ale zachwycające. Wróciłem rozmarzony! Powinna się pani przygotować na straszne napaści. Ale są i tacy, którzy panią bronią. O!... „Kuryer“, „Gazeta codzienna“, „Myśl“,

„Iskra“ — wszystkie hymny na cześć pani głoszą. Czytała pani?

— Nie!

— To szkoda! Niech pani przeczyta. Nic dziwnego. Ujarzmiła nas pani. Podbiła... druga Fryne... Trudno!...

Przysuwał się, spoglądając ostrożnie na drzwi, z po za których płynął zapach naftaliny.

— Druga Fryne!...

Od piersi dziewczęcych wzdłuż bioder osunął się wzrokiem ku stopom Anki, jak wąż.

Dziewczyna, zmieszana, wstała i kierować się ku drzwiom zaczęła. Pan z piękną brodą, poszedł w ślad za nią.

Zachodzące słońce kładło pomiędzy niemi śliczne złote plamy, drżące jak jesienne liście.

— Nasze panie się krzywią! — wyrzekł już przy portyerze adwokat — spotkałem przed pani obrazem panią Stalewską, która aż była zmieniona z oburzenia. Próbowałem z nią rozmawiać. Nic mi nie odpowiadała. Powinna jednak się cieszyć. Przed pani obrazem był tłok. A potem widziałem, że miała w ręku wszystkie dzienniki, w których są hymny pochwalne na cześć pani... Wszak pani jest jego uczennicą?

— Tak... — rzuciła z wysiłkiem Anka, która nie pojmuje, dlaczego przejęła ją jakaś szalona trwoga. Zegna się i wychodzi.

Czas jakiś błąka się po odludnych ulicach, nie wiedząc, co się z nią dzieje. Zdaje się jej, że spadła na nią jakaś katastrofa, że coś się stanie, co ją zgniecie moralnie. Przypomina sobie, że Jan tam gryzie się słowami krytyki, gdyż właściwością smutną artystów jest wybierać na pokarm godzin samotnych tylko zarzuty i obelgi krytyki, a nie przyjazne, lub wielbiące wyrazy.

— Pójdę! — myśli, jakby tęsknotą przejęta do tych ścian cichych, w których tyle przeżyła ze swą własną duszą i z tym człowiekiem, garnącym się ku niej w swej niemocy i bólu spletanego artysty.

Na moście zapalają już szereg światel, a te żółte punkty blade są i dziwne tworzą kontrasty z nadzwyczaj silnym jeszcze szafirem nieba, na który wystąpiła złota tarcza księżycą.

Chwilę Anka jest pochłonięta tem niezwykle pięknem ułożeniem się barw i linii. Odżywa w niej malarka, zbierająca wszędzie piękno, w jakiegokolwiek się przejawia formie. Lecz nagłe targnięcie nerwów, które budzi brutalnie istotę ludzką, pogrążoną w odmęcie smutnych dla niej faktów życiowych, a pragnącą choć na chwilę przenieść się w inne kręgi, przywołuje ją do rzeczywistości.

Idzie mostem i wyczuwa drżenie żelaza, w którym drga, jakby echo drzeń, płynących warstwami ziemi od miasta. Idąc myśli, że nie powinna wracać pomiędzy Stalewskich, że tak każe jej właściwy konwenans życiowy. Lecz silniejsza wola popycha ją naprzód. Wie, że cokolwiek postanowi, pójdzie przecież i nic ją nie ocali od tego, co się ma stać, co się stanie z nieubłaganą konsekwencją.

Gdy otwiera furtkę i wzrok jej pada na śnieg narcyzów i turkus niezabudek, smutek jej zwiększa się jeszcze. Cicha dusza przyrody, tragiczna dusza rzeczy martwych, witają ją u progu melancholią gąsnących przyjaźni. Przechodzi wśród grzęd kwiatów lekko, jak cień. Miłośnicze ku niej się chyłają pod jej stopy drobne. Czuje, że w tem powitaniu jest i pożegnanie. Motylem oczy jej przelatują ponad wyrosłe pięściwie turkusy, koraliny i śniegowe biele. Zabiera ich czar żywej kadzielnicy, sadzonej kosztownymi kamieniami i rozpachnionej o zachodzie słońca...

Idzie prosto ku pracowni Jana. Słyszy głos Stalewskiej. Jest pewna, że mówi o niej, tak głos ten owinał ją nagle przykrym, bolesnym prądem. Do ogrodu wpadają słowa Stalewskiej, lecz Anka nie zatrzymuje się, nie waha. Przeciwnie, przyspiesza kroku. Naciska klamkę i staje w pracowni.

Na sofie, ponad którą Narcyz na tle zieleni gobelinowej miłośnicze patrzy w strumień, siedzi Jan z głową opuszczoną, z twarzą, ukrytą w dłoniach.

Anka nie widzi twarzy Jana, lecz widzi te dwie ręce wpite z rozpaczą w srebro włosów, i odczuwa całą tragedję tego ruchu, w którym skamieniał ból zdrczonego człowieka.

Na podłodze, na dywanach, o czarownych, delikatnych deseniach wschodnich, porozrzucane szkice. W pierwszej chwili Anka nie dostrzega, co one przedstawiają. Widzi tylko, że jest ich dużo, niektóre spore i prawie wykończone, niektóre mglisto rozwiane i jakby we śnie tworzone.

Pomiędzy niemi, deptając je brutalnie nogą, Stalewska płomienna, drżąca, sina prawie z napływu krwi do twarzy.

Na odgłos otwierających się drzwi Stalewska chwilę milknie, lecz, dojrawszy Ankę, jej twarz przybiera wyraz nieokreślonej zaciekłości.

— Proszę... proszę... — woła — w samą porę przybywa bratnia dusza.

I prawie z pięściami rzuca się ku Ance.

— Ty... ty... złodziejko!... oszustko!... ty!... wielka, wielka... cudzą pracą... bezczelna... bezczelna!...

Jan zdaje się nie wiedzieć o przybyciu Anki. Nie widzi nic, nie słyszy...

— Czy myślisz, że ja nie widziałam, jak on malował to obrazisko, na którym dziś jest twój podpis?... O!... patrz! patrz! tu są szkice!... znalazłam je, wróciwszy do domu wcześniej, niż ten pan przyszedł

z ogrodu. Pochował je starannie, a miał co chować! Hańba! hańba!... Naga mu pozowałaś! Nagła bezczelna!... tu, pod moich dachem, o kilka kroków odemnie...

Kopnęła nogą kilka szkiców. Anka stała bezradna, nad wszelki wyraz smutna i zrezygnowana. To jej milczenie podnieciło tylko gniew Stalewskiej.

— Ach, podli! podli!... on i ta uczciwa panna, którą z litości pod mój dach przyjąłem — zionęła znowu — znaleźli się, dobrali. Duchy twórczel... Wielkie dzieła!... Nocami pracował, mnie, jako modela, nie chciał. Z duszy miał tworzyć, a tu... z nagiej bezwstydnicy. A potem za te usługi wynagrodził ją... wynagrodził tem, że swoją pracę jej podarował wleddy, gdy ma żonę, dzieci, obowiązki!... Podli!...

Z kieszeni płaszcza wyciągnęła kilka dzienników i rzuciła w stronę Jana.

— Masz... czytaj... czytaj, jak wychwalają dzieło panny Zagrodzkiej!... jej dzieło!...

Nagle zwróciła się ku Ance z tryumfującym śmiechem.

— Ale przeczytajcie sobie i to, co piszą o Fryne... o nagiej duszy... o autoportrecie bezwstydnej panny!... I wiedcie, że to ja wam to zrobiłam! Ja wczoraj moim wpływem urządziłam ten artykuł... Ach!... gdybym wiedziała wczoraj, że to właśnie ten jest obraz, byłabym was inaczej ubrała... wy... wy...

I z przepelnionego śliną gardła cisnęła:

— Pajac i nierządnicą!

Nagle powstał Jan i szedł ku żonie straszny, bładny, zmieniony. Anka przeraziła się jego wyglądem i czuła, że padnie teraz słowo wielkiej wagi, słowo nieodwołalne, jak uderzenie katowskiego miecza.

I wymienił Jan to słowo krótkie, fatalne:

— Precz!..

Chwilę zapanowało milczenie i z niego ozwał się głos Stalewskiej:

— I tak miałam iść! Odjeżdżam do matki! Gdy przyjdiesz do rozumu, będziesz wiedział, gdzie mnie i dzieci znaleźć... Jeżeli zaś spodłajesz do reszty, mniejsza z tem!...

Skierowała się ku drzwiom, wyniosła i bezwiednie majestatyczna. Przystawała panować, bo chwila, którą przeżywała, zbyt wielką była w jej życiu. Stąpawszy u progu, błysnęła raz jeszcze rozpalonemi oczyma.

— A willa będzie do mnie należała... to jest do mnie i do mych dzieci! Proszę o tem pamiętać. Choćby się ta panna tu rozsiadła, przyjdzie czas, kiedy ja tu wrócę!...

Podniosła gobelin i znikła.

Za chwilę słychać było, jak schodziła po schodkach, otwierała furtkę i wychodziła z ogrodu. Nie zabierając nic, pozostawała niejako prawną władczynią domu, a może miała zamiar przysłania kogoś zaufanego, by rzeczy jej usunął.

Gdy kroki jej na żwirze ucichły, Jan wyprostował się i wyciągnął ręce.

— Nareszcie!... — wyrzekł z szalonym uczuciem. Nareszcie! — powtórzył, a na jego zmęczoną twarz wystąpił wyraz pewnego spoczynku.

I równocześnie ku Ance się zwrócił. Ręce jego zakreśliły łuk i wyciągnęły się ku niej. Wykonał ruch, jakby chciał do kolan jej przypaść, lecz ona zatrzymała go wejrzeniem i ku leżącym na ziemi szkicom się pochyliła. Od kilku chwil bowiem wzrok jej padł na te szkice i ogarnął je przestrachem i zgrozą. Anka widziała na nich naszkicowaną ową postać wyniosłą i smukłą tak, jak na obrazie, który Jan jej pamiętnej nocy ukazał, lecz postać ta była

naga i zaledwie owiana czarnym, leciuchnym lachmanem przejrzystej draperyi.

Co więcej, postać ta, lubieżnie naga, miała jej rysy, jej kształty wyczułe, odgadnięte widocznie w chwilach zmysłowych pożądań, które musiały szarpać istotą tego człowieka z tak wielką siłą, że wywołały dokładną wizję jej ciała... w formie drażniącej i nikczemnej.

Teraz Anka zrozumiała słowa artykułu: „bezprzykładna w dziejach malarstwa zuchwałość, zanik wstydu, Fryne, naga dusza“... Jan w chwilach namiętności ku niej, przetwarzał ową postać, nadawał jej zwolna rysy Anki, potem jej kształty, drżącą ręką rozszarpywał draperyę, czynił ją coraz więcej przezroczą, różowił ciałem, aż stworzył ją całą, tak, jak widział *on*—widział, brutalnie od żądz bezprzytomny.

Anka jeden ze szkiców ujęła w rękę.

— Czy taką jestem tam na sali?... tam, wśród ludzi?... na obrazie?...

— Och! stokroć piękniejszą! Jesteś sobą, Anko, taką, jaką cię widziałem w snach moich...

Szkic wypadł z ręki Anki.

Ona sama osunęła się na kolana i klęczała tak wśród porozrzucanych na ziemi swych postaci zszarganych, smutnych, odartych z majestatu duchowego Piękna.

On dostrzegł jej smutek.

— Anko!...— zaczął cichym głosem— Anko! czy masz żal do mnie?...

Milczała.

— Czy uraziłem twój wstyd, nadając memu dziełu twą postać?... Może masz słusność. Ale, Anko, ja to uczyniłem bezwiednie. Tak to na mnie przyszło... ty stawałaś przedemną całą... niepodzielna... Musiałem!

Milczała ciągle. Pomiedzy nimi zaszły się już cienie nocy. Oboje zapadali w otchlań swych przeznaczeń i czuli, że to jeszcze, co mówią, co robią, to jakaś tylko zdawkowa konieczność, którą wypełnić muszą.

— Anko, czy masz żal do mnie?

Ocknęła się.

— Tak! — odparła twardo.

Cofnął się zdziwiony.

— Sądziłem cię silniejszą, inną... nie wiedziałem, iż na dniu twej natury jest podkład niewyzwolonej pruderyi...

— To nie to...

— Więc co?... więc co?...

Podniosła na niego swe wielkie, przeczyste oczy i patrzyła chwilę. Cień zalegał pracownię, oni jednak widzieli się doskonale, tak znali swoje twarze i swoje źrenice.

— Nie dlatego mam żal, że mnie ludzie taką widzą, lecz żeś ty mnie taką widział.

— Wniknęłaś mi taką w głąb duszy.

— Ja wniknęłam ci taką w głąb duszy?...

Przeniknęła go spojrzeniem tak uduchowionem, iż zadrżał pod jego kryształową siłą i nagle zrozumiał, że widział ją głównie oczami zmysłów, i że nie głąb duszy wytworzył jej obraz fatalny i czarów jeno zmysłowych pelen.

I znów zapadło głębokie milczenie.

Oboje czuli, że stało się to nieuniknione, że nic sobie nie mają do powiedzenia, bo zasadnicza podstawa ich poprzedniego porozumienia rozbiegła się zupełnie.

Nie była Anka dla Jana dobrym duchem—lecz pięknem ciałem.

Nie kryształna lampa jej słodczy i piękna wewnętrzna płonęła dla niego w oddali, to raczej różowy blask jej ciała jutrzenką pożądań w nocie letnie rozjaśniał mu drogę.

I oboje uczyli się obcymi dla siebie.

Ona przez jego pożądanie.

On — przez to, że ją pożądał.

Gdy wstała wreszcie z kłęczek, odkładając cicho trzymane w rękach szkice, czuła, iż jest wolna i że ten człowiek zatrzymywać jej nie będzie.

On czuł to samo. Bo ten twór nagi, piękny, działający na jego zmysły, był tak daleki od tej Anki, którą miał w tej chwili przed sobą, tak karłał i szpetniał mimo swej potężnej piękności, że Jan odczuł przeogromną niesmiałość, trwogę, lęk, i zrozumiał, że ku tej Ance obecnej nie może się zbliżyć i pragnąć jej obecności.

A mimo to przeszył mu serce ból straszny na myśl, że ona odejdzie i że nie zobaczy jej więcej.

Lecz nic nie zrobił, aby ją zatrzymać.

Gdy wysunęła się cicho z pracowni, jak cień jasny i lekki, zdawało mu się, że uleciała dusza jego.

I chwilę było mu tak, jakby umierał.

A potem, powoli, razem z bólem, przyszło jakieś jakby uczucie ulgi, że wreszcie pozostanie takim, jakim jest w rzeczywistości.

Warstwa zmysłowa, erotyczna, była w nim tak silnie pielęgnowana, tak rozbudzana staraniem Stalewskiej, że jak zwierz tryumfujący owijac go zaczęła.

Nie przyznał się do tego przed sobą, nie zdolałby określić swego stanu, a przecież było w nim to, kielkowało, ludziło go pozorami rzeczywistego życia.

I gdy padł na sofę z oczyma leż pełnemi, samotny w tym domu niedawno jeszcze roześmianym

i bielejącym wśród kwiatów, nie wiedział, za czem najwięcej tęskni i dlaczego mu jest tak okropnie.

XXXVI.

— Proszę wielmożnej Pani!..

Za rękaw, za suknię ciągnie Piotruśka powracającą ku miastu Ankę.

— A... to ty!

— No... ja. Przychodzę pani podziękować. Lądnie mnie pani ubrała.

Ton, jakim kochanka Wierciaka mówi do Anki, jest już całym światem. Żal, gniew, nienawiść aż zięją z tego ochryplego głosu. Pod latarnią mostu głowa jej tragicznie wysuwa się z pod podartego lachmana. Czuć od niej wódkę.

Anka patrzy na nią z trwogą.

— Co się stało?..

— Co się stało?.. pani wiedzieć powinna, kiedy pani taka mądra... To się stało, że... że już nie siedzę z Wierciakiem!!

Ostatnie słowa w jęk prawie przeszły.

Anka jednak, pomimo wszystkiego, nie rozumie znaczenia tego jęku.

— Tem lepiej dla ciebie.

Ręka brudna Pietruśki targa odzienie Anki.

— Tem lepiej?...—krzyczy dziewczyna—a pani wie, że ja teraz przez niego mało nie zdechnę z żalu? Pókim mu się bić dawała, póty my siedzieli razem i kochaliśmy się... A jakem przez pani durne

gadanie mu się postawiła, to wziął uciekać z domu i znalazł sobie taką, co ją wali, jak w bęben... ale ją kocha i do niej się sprowadził!.. A ja przez niego, to jak przez rękę... Z żalości to mało nie zdechnę...

Odgarnęła z czoła pasma nieczesanych włosów.

— I to bez panią, bez panią!.. — powtarzała z wściekłością, a zęby jej błyskały, jak u młodej wilczycy.

Anka już ochłonęła.

Oparła się o parapet mostu i patrzyła na Piotruśkę smutnemi oczyma.

— Moja biedna Piotrusiu—wyrzekła cichym głosem—zdawało mi się, że przecież masz duszę, że nie trzeba jej marnować w takiej poniewierce.

— Moją duszę nie bolało, jak mnie Wierciak zwał. A moja dusza to właśnie był Wierciak! Czego się pani pomiędzy nas wtrąciła?..

Zionęła wódką w twarz Ance.

— Ty pijesz?

— A ino. Cóż to mi nie wolno? Muszę się czem zalać, żeby za tym drabem oczu nie wypłakać. Piję i z żołnierzami hulam. I to bez panią!.. bez panią!..

Zadławilo ją łkanie.

Kulakami uderzyła się po twarzy i nagle zawyła z bólu.

— Piotruśka!..

Lecz ona nie odpowiedziała nic, jeno porwała się nagle i poleciała w głąb mostu jak szalona, unosząc z sobą swą straszną rozpacz i ból.

Anka pozostała sama.

Na moście snuli się rzadcy przechodnie. Światła, daleko rozsunięte, mgławo oświetlały przestrzeń.

Rzeka pod mostem senna i leniwa, snuła się ze szmerem korowodu ogromnych głazów, wlokących się procesyą. W oddali ginęły brzegi, jak ramiona jakiejś mistycznej potwory, znużonej od więzienia wszystkich objawów niezależności ludzkiego istnienia.

Anka, oparta o parapet, stała nieruchoma, czując w sobie niejako bankructwo tego, do czego dążyła.

Wniknęła w głąb duszy istot, które los ku niej gnał i z jej losem spletał.

Nie chciała przejść koło nich obojętnie tak, jak przechodzą inni, troszczący się jedynie o powierzchowną warstwę tych, którzy obok nich żyją i życiem tem się dławia.

Słowa Narbutta wskazały jej cel, dla którego dusze wyższe, doskonalsze, przenikają w głąb innych dusz.

Nie chciała zabierać z nich tylko światel i linii, i syntezą ich karmić swoich artystycznych żądz.

Chciała dźwignąć je z otchłani, urównoważyć, dać im choć cień pięknego spokoju i zrozumienia prawdy takiej, jaka dla niej prawdą nieskalaną była!

A przecież rozpadło się wszystko w gruzy.

Wniknęła w duszę ojca, i ten w agonii powtarzał jej gest lekkomyślnego siewcy, a kto wiedzieć mógł, jak strasznie cierpiał, uzewnętrzniając tym gestem stan swej zmarnowanej duszy?

Wniknęła w duszę Piotruśki i rzuciła ją na pastwę tęsknoty za tem, co było jej hańbą i najwyższą radością i treścią jej życia.

Wniknęła w duszę Jana...

Tam, w oddali czerniała masa willi, smutna i żałobna. Samotny, z rozbudzonem pragnieniem zmysłowej twórczości, zmieszanej tragicznie z pory-

wami ducha—ten człowiek pozostał sam, i targa się i cierpi...

Więc wszędzie bankructwo?.. Wszędzie?..
Dlaczego?..

Anka zakryła twarz rękami. Nie chce widzieć nic, nie chce słyszeć szmeru wody, odgłosów, płynących z miasta.

Ona teraz wnika w głąb swej duszy. I chce zrozumieć, dlaczego się tak stało? Dlaczego bankructwo towarzyszyło jej stale w tem, co powinno było właśnie przynieść najcudniejsze kwiaty w ogrodzie jej życia?

I przez długą chwilę, odcięta od zewnętrznego świata, bada siebie z całą surowością sędziego. Bez egoizmu przecież, z miłością najwyższą, z całym zasobem siły, jaką miała na swój wyłączny użytek, szła z wyciągniętymi rękami ku tym duszom, rozjaśniając blaskiem swego ducha ich głębie...

Blaskiem swego ducha?..

Czy nie to właśnie było przyczyną zła?

Kto wie!...

Czy nie dlatego stało się owo zło i nieumniknione, że Anka przyszła do ich ciemni ze swoją lampą, i chciała, aby oni rozjaśnili się jej wewnętrznym światłem?

Czy nie powinna była raczej zbadać, jakie to światło ich własne uspięne w głębi być może? i czy nie powinna była, zgasiwszy blask własny, starać się rozniecić ich światło osobiste?

A wtędy zrozumiałaby, że każda dusza ludzka, to cały świat osobny, ogromny, tragiczny, ogromnie anielski i ogromnie ludzki.

Ale osobny, odrębny, własny...

I przez to, że oświecała w ich głębi tylko te zakątki, które u niej samej jasno płonęły, wydobywała z nich to, co stanowiło ich zło, ich ból, ich nędzę w przeciwstawieniu do jej blasku.

Natomiast to lepsze, kto wie, może to najlepsze i najdawniejsze w ich istocie, pozostało w cieniu.

Bo Anka zapomniała, że każda najędzniejsza dusza ma w sobie jeszcze cały skarbiec bezcenny klejnotów dobra i piękna, które czekają chwili wyzwolenia, aby zajaśnieć luną przepychu enót i spokoju.

A na to potrzeba nie starań i siły, lecz często jednej chwili, jednego milczenia, jednego westchnienia, jednego potrącenia skrzydłami anielskości duchowej.

A wtędy nie będzie bankructwa...

Z ciężkim westchnieniem ocknęła się Anka z tego obrachunku, od którego omdlały jej siły wewnętrzne.

Twarz jej blada, zmęczona, zablęsnęła chwilę bładością opłatką w mdłym świetle latarni mostowych.

Ręce opadły wzdłuż ciała, jak skrzydła zasmuczonego Anioła.

I zwolna, sennie, zaczęła Anka iść ku brylantami światel przetykanemu miastu...

K O N I E C.



WYCIĄG Z KATALOGU
BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH

Do nabycia w Administracji „BIBLIOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH“ (Warszawa, Warecka № 14), w Filii Kantoru „GAZETY POLSKIEJ“ (Warszawa, Krakowskie-Przedmieście № 1) i we wszystkich księgarniach.

WYSZŁY Z DRUKU:

Rok 1901.

Tom		CENA	
		w oprawie kop.	brosz. kop.
164.	Michalina Domańska. BRZYDKA. Powieść.	40	25
165, 166.	Antoni Fogazzaro. MALOMBRA. Powieść, z przedmową W. Marrené-Morzowskiej.	80	50
167, 168.	Artur Gzuszeczki. NA WYŚCIGACH. Powieść.	80	50
169, 170, 171.	W. Doroszewicz. SACHALIN, z ilustracyami.	120	75
172, 173.	O. Ludwik Coloma. A PFE!—TUMANY I KAŁUZE. Powieści hiszpańskie z przedmową Hajoty	80	50
174, 175.	Marya Rodziewiczówna. BŁĘKITNI. Powieść.	80	50

Tom.	CENA	
	w opr. brosz. kop.	kop.
176, 177. Ernest Lavise, Alfred Rambaud i in. NAPOLEON I-szy W ŚWIETLE NAJ- NOWSZYCH BADAŃ.	80	50
178, 179, 180. Hr. Alfred de Vigny. CINQ- MARS. Przetłóżył Witold Laszczyński.	120	75
181. Ludwik Ariosto. ORLAND OSZALALY. W przetłóżdzie Felicyana.	40	25
182, 183. Rudyard Kipling. OD MORZA DO MORZA. Przetłóżył z angielskiego M. G.	80	50
184. Knut Hamson. WIKTORIYA. Historia m- łości. Powieść.	40	25
185, 186, 187. Karol Dickens. POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH, w przetłóżdzie z przed- mowa Hajoty.	120	75
188. Teodor Jeske - Choiński. TRUBADU- ROWIE. Powieść, z przedmowa Autora	40	25
189. Matylda Serao. W BIURZE TELEGRA- FICZNEM. Nowelle.	40	25
190, 191. T. T. Jeż. Z CIĘŻKICH DNI. Powieść.	80	50
192, 193. Paweł Bourget. WIDMO. Powieść, tłómaczyła Br. Neut-Idówna.	80	50
194. El. (Kazimierz Laskowski). WIERSZE I SPIEWKI, z przedmowa A. Września.	40	25
195. Stefan Krzywoszewski. PANI JULIA. Po- wieść, z przedmowa A. Września.	40	25
196. Juliusz Zeyer. JEGO I JEJ ŚWIAT. Z cze- skiego tłómaczyła J. Kietlińska - Rudzka, z przedmowa A. Września. Powieść.	40	25
197, 198. Slatin basza. PRZEZ SUDAN OGNIEM I MIECZEM, tłómaczył Włodz. Trampeczyński,	80	50
199, 200. Eugeniusz Mottaz. STANISŁAW PO- NIATOWSKI I MAURZYCY GLAYRE, prze- łożyła Jadwiga z Chmielowskich Baranowska, przejrzał i objaśnił Stanisław Krzemieński.	80	50
201. Gomulicki Wiktor. WIERSZE. Zbiór nowy.	40	25
202, 203, 204. Ks. Bolesław Maryański. ESTER. Powieść.	120	75
205. E. Brausewetter. FINLANDYA W OŚWIE- TLENIU LITERACKIEM. Opracowała Ga- bryela Plewińska.	40	25
206, 207. J. Sielski. W PÓŁ DROGI. Powieść.	80	50
208. D-r Henryk Biegeleisen. PAMIĘTNIK J. SŁOWACKIEGO. Z ilustracyami.	40	25
209. Aleksan. Wybranowski. ONGI W DWO- RACH I DWORKACH SZLACHECKICH.	40	25

Tom	CENA	
	w oprawie brosz. kop.	kop.
210, 211. Piotr Leroy-Beaulieu. NOWE SPO- LECZENSTWA ANGLÓ-SAKSONSKIE. Tłó- maczył Klemens Podwysocki.	80	50
212. Świętopełk Czech. JASTRZĄB CONTRA HORDLICZKA. Powieść, tłómaczył Paweł Laskowski.	40	25
Rok 1902.		
213, 214, 215. Artur Gruszecki. WIĘKSZOCIĄ. Powieść.	120	75
216. WYBÓR NOWEL FRANCUSKICH. Przetó- żył Jan Lorentowicz.	40	25
217, 218, 219, 222, 223, 224, 225. Karol Szajnocha. JADWIGA i JAGIEŁŁO. Opowiadanie hi- storyczne.	280	175
220, 221. René Bazin. RODZINA OBERLÉ. Po- wieść ze stosunków Alzacko - niemieckich, tłómaczyła J. P.	80	50
226, 227, 228. Kazimierz Gliński. CECORA. Po- wieść historyczna.	120	75
229, 230. Ernest Menault. MIŁOŚĆ MACIE- RZYŃSKA U ZWIERZĄT. Przetłóżył F. W., z ilustracyami.	80	50
231, 232. Rudyard Kipling. KIM. Powieść.	80	50
233. D-r W. Poppeł. KOBIETA WOBEC BADAŃ NAUKI WSPÓŁCZESNEJ. Studium naukowe i społeczne.	40	25
234, 235. Jerzy Bogurad. PRO CHRISTO. Po- wieść.	80	50
236, 237, 238. Franciszek Herczeg. GYURKO- VICSHOWIE. Powieść. Tłómaczyła z węgier- skiego B. Jaroszevska.	120	75
239. Józef Dunin Karwiczki. Z ZAMGLONEJ I NIEDAWNO MINIONEJ PRZESZŁOŚCI. Opowiadanie historyczne.	40	25
240, 241. T. T. Jeż. MIŁOŚĆ W OPALACH. Po- wieść.	80	50
242. Fr. Reinstein. HUMORESKI.	40	25

Tom		CENA	
		w oprawie brosz.	
		kop.	kop.
243, 244.	Orisson Swett - Marden. SZTUKA ŻYCIA. Przekład z angielskiego.	80	50
245, 246.	Antoni Fogazzaro MAŁY ŚWIATEK NOWOŻYTNY. Przekład z włoskiego J Korzeniowskiej.	80	50
247, 248, 249.	Hajota. OSTATNIA BUTELKA. Powieść.	120	75
250, 252, 253.	D-r L. Sonderegger. PODSTAWY OCHRONY ZDROWIA. W przekładzie i z przedmową D-ra E. Biernackiego.	120	75
251.	Kazimierz Głinski. POEZYJE	40	25
254.	Maryan Manteuffel. STATYST. Szkic.	40	25
255.	PAMIĘTNIKI HR. DE MORIOLLES (1789 - 1833), tłómaczyła Zofia Przyborowska.	40	25
256.	D-r med. Stanisław Orłowski. SUGGESTYA I HYPNOTYZM. Studium.	40	25
257, 258, 259.	Ignat Herrmann. OJCIEC KONDELIK I NARZECZONY WELWARA. Powieść z czeskiego przeł. Paweł Łaskowski	120	75
260.	Roman Zmorski (Zamarski). PODANIA I BAŚNI LUDU. Z przedmową J. Karłowicza.	40	25

Rok 1903.

261, 262.	PAMIĘTNIKI PREZYDENTA KRÜGERA. Przekład J. Paszkiewiczówny i A. Morzkowskiej.	80	50
263, 268, 273.	Mikołaj Rey ŻYWOT CZŁOWIEKA POCZCIWEGO. „Biblioteka pisarzy polskich“ tom I, II i III.	120	75
264, 265, 266.	Paweł Bourget. PO SZCZEBLACH. Powieść.	120	75
267.	Artur Oppman (Or-Ot). POEZYJE.	40	25
269, 270.	Jenerał de Wet. TRZY LATA WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ. Przekład M. G.	80	50
271, 272.	Bret Harte. OSTATNIE NOWELLE. Przekład W. Zyntram Kościalkowskiej.	80	50
274, 275.	Bogdan Jaxa Ronikier. PROMIENNA TOŃ. Powieść.	80	50

Tom		CENA	
		w oprawie brosz.	
		kop.	kop.
276, 277.	André-Bellessort. PODRÓŻ DO JAPONII, SPŁECZENSTWO JAPONSKIE. Przekład J. P.	80	50
278.	Bolesław Biernacki. BIURALIŚCI. Powieść	40	25
279.	Włodzimierz Trajpczynski. ALBANIA I MACEDONIA, KRAJ I LUDZIE.	40	25
280.	M Domańska. CICHĄ MOC. Powieść.	40	25
281.	Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“ tom I.	40	25
282, 283.	Maurycy Jókai. CZARNA KREW. Powieść, przełożyła B. Jaroszevska.	80	50
284.	NOWELE AMERYKANSKIE. Nagrodzone na konkursach, przekład Emilii Węslawskiej.	25	40
285, 286.	George Sand. OSTATNIA Z ALDINICH. W przekładzie i z przedmową Kazimierza Kaszewskiego.	80	50
287.	Cecylia Walewska. HISTORIA DZIECI. Powieść.	40	25
288.	Aleksander Kielland. KAPITAN WORSÉ. Powieść, przełożyła Jozefa Klemensiewiczowa.	40	25
289.	Ostoja. NAD MORZEM. Nowelle.	40	25
290.	Edmund Bogdanowicz (Nix). PAN ZAĞŁOBA I DYOGENES.	40	25
291, 292.	Th. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych. ŻYCIE HODOWCÓW AMERYKANSKICH.	80	50
293.	MILIONY. Nowelle żydowskie. Przełożył Jerzy Ohr.	40	25
294, 295.	Edward Rod. DAREMNE WYSIŁKI. Powieść. Tłómaczyła J. P.	80	50
296.	Jan Kochanowski. DZIEŁA. „Biblioteka pisarzy polskich“ Tom II.	40	25
297, 298.	Multatuli MAKŚ HAVELAAR. Tłómaczyła Br. Neufeldówna.	80	50
299.	Juliusz Piasecki. WALKA. Powieść.	40	25
300, 301.	Andrzej Bonnefons. SPRZYMIERZENIEC NAPOLEONA, FRYDERYK AUGUST. Przekład Zofii Przyborowskiej.	80	50
302, 303.	Conan Doyle. PIES BASKERVILLE'ÓW. Powieść. Przełożyła Br. Neufeldówna.	80	50
304.	E Gebhart. PRZY DŹWIĘKU DZWONÓW. Legendy. Przekład z francuskiego M. R.	40	25

CENA

w oprawie brosz.

kop. kop.

Tom		w oprawie brosz.	
		kop.	kop.
305, 306.	Antoni Miecznik. CZTERY DNI. Powieść.	80	50
307.	Jerome K. Jerome. DZIENNIK WYCIĘCZKI DO OBERAMMERGAU. Przekład z angielskiego Emilii Węstawskiej.	40	25
308.	Mikołaj Rej. SPÓLNE NARZEKANIE NA NIEDBAŁOŚĆ NASZĄ. „Biblioteka pisarzy polskich”. Tom IV.	40	25
309.	Karolina Swietla. OSTATNIA PANI GŁOGOWSKA. Powieść. Przekład M. Cz. Przewóskej.	40	25
Rok 1904.			
310, 311, 312, 314, 315, 316.	Z. Kaczkowski. OLBRACHTÓWI RYCERZE. Powieść historyczna z przedmową Władysł. Jabłonowskiego.	240	150
313.	Hans Leuss. Z WIEZIENIA PRUSKIEGO. Z przedmową Włodzimierza Trampezyńskiego.	40	25
317.	T. Roosevelt, prezydent Stanów Zjednoczonych A. P. ZYCIE WYTEŻONE. W przekładzie i z przedmową Ludwika Włodka.	40	25
318.	Anatol France. HISTORIA KOMICZNA. Powieść. Przekł. Emilii Węstawskiej, z przedmową Wł. Jabłonowskiego.	40	25
319.	Kazimierz Gliński. OBRAZKI Z PRZESZŁOŚCI, z przedmową Henryka Gallego.	40	25
320, 321, 322.	Henryk Brandt. PAMIĘTNIKI OFICERA POLSKIEGO. Przekład M. G., z przedmową prof. Szymona Askenazego.	120	75
323.	Iwan Wazow. WYBÓR NOWEL. Przekład Józefy Ane.	40	25
324, 325.	Deotyma. SOBIESKI POD WIEDNIEM.	80	50
326, 327.	Wilhelm Depping. JAPONIA.	80	50
328, 329.	Grazia Deleda. PO ROZWODZIE. Przekład Wili Zyndram-Kościełkowskiej. Powieść.	80	50
330.	Wiktor Doleżan. MANDŻURYA.	40	25
331.	Jerzy Leueven. H. IBSEN. W tłumaczeniu A. Kordziakowskiej z przedmową Władysława Jabłonowskiego.	40	25
332, 333.	PAMIĘTNIK EX DZIEDZICA z dopiskami ex pachciarza, zebrali X. Y. i Y. Z. Powieść.	80	50

CENA

w oprawie brosz.

kop. kop.

Tom		w oprawie brosz.	
		kop.	kop.
334.	Werner Siemens. WSPOMNIENIA Z MEGO ŻYCIA. Spolszczone przez M. S., z przedmową G. Tolwińskiego.	40	25
335.	Fr. von Eeden. MAŁY JANEK. Z przedm. i tłum. F. L. Lubodzieka. Powieść.	40	25
336.	Eliasz Metschnikoff. STUDYA NAD NATURĄ LUDZKĄ. Streścił D-r E. B.	40	25
337.	Stanisław Pilecki. HISTORIA UBOGIEJ PANNY. Powieść.	40	25
338, 339.	Maurycy Barrés. WYRWANI Z GRUNTU OJCZYSTEGO. Przekład I. P. z przedmową Wł. Jabłonowskiego. Opowieść.	80	50
340, 341.	Marya Ratul-Rakowska. PODRÓŻ POLKI PO PERSYI. Z przedmową T. Jaroszyńskiego.	80	50
342, 343.	Maurycy Jókaj. BIAŁA DAMA Z LIWOCZY. Przekład B. Jaroszyńskiej. Powieść.	80	50
344.	NOVELLE FRANCUZKIE. Przełożyła M. Rakowska.	40	25
345, 346.	M. Czerny. DNO LETY. Powieść.	80	50
347, 348.	Edmund Demolins. POTĘGA WYCHOWANIA. Przekład z francuzkiego.	80	50
349	Jonasz Lie. ULWUNGOWIE. Kartka z księgi namietności	40	25
350, 351, 352.	M. Pawlikowski. BAJKI I OPOWIADANIA	80	50
353.	CONRAD (Konrad Korzeniowski). LORD JIM Przekład z angielskiego i przedmowa Emilii Węstawskiej	80	50
354, 355, 356.	GABRYELA ZAPOLSKA. „A GDY W GŁĘB DUSZY WNIKNIEMY...” Powieść współczesna z przedmową Wł. Jabłonowskiego	1.20	7

Dla prenumeratorów „*Biblioteki Dzieł Wyborowych*“
wydaje się wielkie i znakomite dzieło

Juliana Adolfa Świącickiego

p. t.:

HISTORIA LITERATURY POWSZECHNEJ

Z ILUSTRACYAMI

którego każdy tom stanowi osobną całość i może
być oddzielnie kupowany.

Treść wydanych dotychczas tomów:

CENA

w oprawie brosz.
kop. kop.

Tom I.	LITERATURA BABILOŃSKO - ASSY- RYJSKA I EGIPSKA. Stron 384. Ilustr. 91. 1901 r.	175	150
Tom II.	LITERATURA CHINSKA I JAPOŃ- SKA. Stron 447. Ilustr. 97. 1901 r.	175	150
Tom III.	LITERATURA ARABSKA. Stron 416. Ilustr. 52. 1901 r.	175	150
Tom IV.	LITERATURA INDYJSKA. Stron 462. Ilustr. 68. 1902 r.	225	170
Tom V.	LITERATURA PERSKA. Część I. Stron 239. Ilustr. 35. 1902 r.	175	150
Tom VI.	LITERATURA PERSKA. Część II. Stron 239. Ilustr. 27. 1902 r.	175	150
Tom VII.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część I. Stron 264. Ilustr. 49. 1902 r.	175	150
Tom VIII.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część II. Stron 288. Ilustr. 29. 1903 r.	175	150
Tom IX.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część III. Stron 368. Ilustr. 24. 1903 r.	175	150
Tom X.	LITERATURA ŻYDOWSKA. Część IV. Stron 312. Ilustr. 11. 1903 r.	175	150